

Laura Leone

Odmieniec

Rozdział 1

Nagi, przeciągnął się leniwie na ogromnym łóżku, poddając się komfortom bawełnianej, czystej pościeli, puchowych poduch i wygodnego, sprężystego materaca. Po latach sypiania w namiotach na twardej ziemi zaczynał doceniać tego typu rozkosze.

Przez balkonowe drzwi zakradał się do sypialni zapach cytrynowego gaju i szum morza. Zmrużył oczy, ocienione ciemnymi rzęsami. Już nie spał, lecz jeszcze był zanurzony w miłym bezwładzie, na samej granicy świadomości, zbyt przytomny, by drzemać, i zbyt rozleniwiony, by do końca oprzytomnieć. Mógł wstać i zadzwonić do kliniki, oczywiście, o ile działały dziś telefony, mógł wstać i zaciągnąć żaluzje i mógł też po prostu przewrócić się na drugi bok.

Odrzucił pościel i poczuł, jak całe łóżko wraz z nim tonie w obezwładniającym śródziemnomorskim upale. Okna sypialni wychodziły na północną stronę i, sądząc z położenia słońca, musiało być koło południa.

Bywał zwykle rannym ptaszkiem i wyskakiwał z łóżka jak sprężyna, ale to było kiedyś. Zanim nastał ten pamiętny poranek, kiedy to obudził się i znalazł Lisę, swoją siostrzyczkę, balansującą na granicy życia i śmierci. Zanim powiedział jej, że zawiezie ją na odwyk, i zanim ona w odpowiedzi rozorała mu policzek paznokciami.

Odwrócił się na plecy i spojrzał w sufit, czując, jak tamten ból powraca i narasta w nim, ciągle żywy i dojmujący.

Drgnął nagle na ostry dźwięk telefonu.

– Bogu dzięki, telefon działa – mruknął.

Kto może dzwonić? A może to Lisa? Sięgnął po słuchawkę zdrętwiały ze strachu.

– Halo? – Przypomniał sobie, że jest we Włoszech i poprawił: – *Pronto!*

– Tylko mi nie mów, że cię obudziłem – usłyszał głos brata, docierający wśród trzasków i szumów aż z Nowego Jorku. – U ciebie jest już chyba po południu?

– Cześć, Vince. – Zerknął na budzik na nocnym stoliku. – Tak, jest już po południu.

– Masz jakiś niewyraźny głos, Roe. – Vince zamilkł na chwilę. – Słyszałem o twojej siostrze. Jest mi naprawdę przykro. Jak się miewa?

Vince był starszy od trzydziestoczteroletniego Roe o dziesięć lat. Mieli wspólną matkę, lecz Roe był synem z jej drugiego małżeństwa. Z Lisą miał z kolei

wspólnego ojca. Ojciec ożenił się po raz drugi i obdarzył Roe przyrodnią siostrą, młodszą o dwanaście lat.

– Jak się miewa? – powtórzył Roe. – Rewelacyjnie. Mało się nie przejechała na tamten świat. Zażyła upojną mieszankę alkoholu i kokainy, po czym wylądowała na odwyku. Nienawidzi mnie za to i przysięga, że nigdy mi tego nie zapomni.

– Postąpiłeś najlepiej, jak mogłeś – powiedział Vince z przekonaniem.

– Ojca jakoś nie było na to stać. Jak i na to, żeby wyrwać się z Vegas na parę dni i odwiedzić ją w Los Angeles w szpitalu.

– Nawet jej nie odwiedził?

– Nie. Przysłał parę tuzinów róż i wyrazy współczucia – relacjonował cierpko Roe. – A co do Candy... – na wspomnienie Candice Jirrell, aktorki i matki Lisy, oczy Roe pociemniały ze złości – to może nawet lepiej, że się niespecjalnie przejęła. Kiedy wyjeżdżałem, zamęczała całe Hollywood opowieściami o tym, jak to ją zmusiłem, żeby wysłała swoje małżeństwo do jakiejś strasznej kliniki. – A zmusiłeś ją?

– No, raczej tak. – Roe poprawił się na łóżku.

– Cieszę się, że wzięłaś to na siebie. Roe. To wisiało w powietrzu od lat.

Roe skrzywił się i zamknął oczy.

– Tak więc, nie dziwi cię chyba, że wolę nie wracać do domu – burknął.

To miały być jego wakacje – podróż do Los Angeles, pierwsza od trzech lat. Chciał zobaczyć siostrę i ostatecznie zdecydować o powrocie do Stanów. W ciągu kilku dni wizyta przerodziła się w koszmar, porównywalny tylko ze śmiercią matki. Jeszcze teraz trudno mu było dojść do siebie.

– Przecież ty jesteś w domu – przypomniał mu Vince.

– No, tak – odpowiedział Roe po chwili. – Właściwie masz rację, Sontara to mój dom. – Zmarszczył brwi. – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Do Los Angeles odleciał z Nairobi zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Lisa przedawkowała w trzy dni po jego przyjeździe. Nawet nie zdążył powiadomić Vince'a, że jest już w Stanach. Potem wysiadywał całymi dniami w klinice, na koniec wysłuchał ze stoickim spokojem jadowitych złorzeczeń Lisy i wyjechał. Z krótkimi przystankami po drodze odleciał z Los Angeles do Palermo, a potem złapał prom z Trapani na Sontarę.

– Tylko w szpitalu wiedzieli, dokąd jadę.

– Ja nie wiedziałem – przyznał Vince. – Zadzwoń do Zu Aspanu i on mi powiedział, że jesteś na wyspie.

Roe usiadł na łóżku. Nie mógł zrozumieć, po co Vince dzwonił aż do ich wuja.

Stary nie cierpiał przecież telefonów. Poza tym telefony na Sontarze prawie nie funkcjonowały i najpilniejsze wieści przesyłano tu raczej listownie.

– Dzwoniłeś do Zu Aspanu dzisiaj? – zapytał.

– Tak.

– A teraz do mnie? Czy coś się stało?

– Nie, skąd... – Vince zawahał się. – Nic takiego się nie stało, właściwie... – westchnął.

– No, dalej. – Choć pochodzili z rozbitej rodziny i nie widywali się latami, pewne zasady, wpojone im przez ich matkę, typową Sycylijkę, były dla nich święte. Jeśli Vince był w tarapatkach, to Roe poruszyłby ziemię, żeby tylko mu pomóc.

– Przypominasz sobie mój nieżyt żołądka w zeszłym roku? – zaczął Vince. – Okazuje się, że to już nie jest tylko nieżyt, ale nie denerwuj się...

– Serce? – szybko odgadł Roe.

– Tak. Raz już wylądowałem na reanimacji i okazało się, że to wada dziedziczna... No, w każdym razie lekarze chcą mnie kroić. Tylko nie przejmuj się, stary.

– Vince! – Roe aż przyklął na łóżku. Nigdy nie poznał ojca Vince'a, pierwszego męża matki, ale wiedział, że około czterdziestki powalił go zawał. Vince, nawet bez obciążeń dziedzicznych, był, zdaniem Roe, następnym w kolejce. Nerwowy, palący jak smok chorobliwy perfekcjonista w średnim wieku, który nigdy w życiu nie ćwiczył ani nie odpoczywał.

– Wszystko wygląda dobrze – zapewnił Vince. – Operacja ma wielkie szanse na sukces, jeżeli wierzyć lekarzom.

– Jak długo będziesz w szpitalu? – dopytywał się Roe.

– Jakiś tydzień. Potem miesiąc rekonwalescencji w domu.

– Chcesz, żebym przyjechał do Nowego Jorku?

– Nie, Roe, nie ma potrzeby. Są tu Alice i Michael.

– Vince przypomniał o istnieniu żony i kilkunastoletniego syna. – Wszystko gra.

– Miło mi, że się odezwałeś z tą wiadomością, Vince – powiedział Roe z rezygnacją.

– Właściwie to... – bąknął Vince nieśmiało – niezupełnie po to dzwonię... Nie mówiłem o tym nawet Zu Aspanu i ty też mu nie mów. Mógłby wpaść w panikę i zacząć odprawiać modły w *Santa Cecilia*.

– Dobrze, nie puszcę pary. No więc, czemu dzwonisz?

– Mam prośbę. Cóż, może ci się to nie spodobać...

– O co chodzi?

– Chodzi o Gingie.

Gingie była gwiazdą rocka i od lat dziesięciu klientką Vince'a. Zajął się jej karierą jako menażer mniej więcej w tym czasie, kiedy umarła ich matka. Roe nigdy nie poznał Gingie, wiedział jednak niejedno na jej temat.

– Co z nią znowu?

– Muszę ją gdzieś przechować na czas mojej nieobecności – oświadczył Vince rzeczowo.

– Co to znaczy przechować?

– Może źle się wyraziłem – Vince zawahał się. – Ale co mogę zrobić? Jeszcze dwa tygodnie temu myślałem, że wystarczy jej powiedzieć, żeby nie szalała, zanim ja wydobrzeję.

– Chwileczkę, Vince, przecież ona jest dorosła.

– Stary – jęknął Vince. – Na samą myśl o tym, że przez miesiąc miałyby się kołatać po Nowym Jorku bez jakiegokolwiek opieki, robi mi się słabo.

– To machnij na to ręką – odparł szybko Roe.

– I odeślij ją rodzinie, albo gdziekolwiek.

– Nie mogę. Ty nie znasz tych ludzi. A po tym, co wydarzyło się ostatnio, nie zasną spokojnie, póki ona nie wyląduje gdzieś daleko stąd, tak żeby nikt nie mógł jej znaleźć.

– A co się takiego wydarzyło? – Roe zmarszczył brwi. Usiłował sobie przypomnieć, czy coś słyszał.

– Zdaje mi się, że o niej czytałem... Jakiś skandal?

– Nie wiedziałem, że czytujesz tego typu prasę – zdziwił się Vince.

– W zeszłym tygodniu przewertowałem od deski do deski wszystko, co leżało na stoliku w holu kliniki.

Roe usilnie starał się sobie przypomnieć, co takiego przeczytał o Gingie. Ostatnie wydarzenia raczej nie sprzyjały temu, by śledzić z zapartym tchem ekscesy jakiejś gwiazdy rocka. Wiedział tylko, że była bardzo popularna.

– Jeśli coś słyszałeś, to zgadzisz się ze mną, że trzeba ją gdzieś schować, zanim wszystko ucichnie.

– Chcesz ją przysłać na Sontarę? – Roe wreszcie zrozumiał.

– To idealne miejsce – przytaknął Vince gorliwie.

– Spokojne, odosobnione, odcięte od świata. Na całej wyspie jest pewnie jakiś tuzin telefonów i nie ma ani dziennikarzy, ani kamer, ani fotoreporterów.

Myślałem, że gdybym ulokował ją w willi, a Zu Aspanu znalazłby w wiosce jakąś kucharkę i pomoc...

– O nie, stary. Zmień płytę. Nie zapominaj, że jeszcze ja tu jestem i nie mam najmniejszego zamiaru dzielić domu z jakąś postrzeloną gwiazdą rocka.

– Chociaż matka zapisała dom obu braciom, wiadomo było, że należy on raczej do Roe niż do Vince’a.

– To nie musi być cały miesiąc. Możemy pójść na kompromis.

– Nie ma mowy o żadnych kompromisach – zaprzeczył Roe stanowczo. – Najpierw spada mi na głowę umierająca siostra, a teraz braciszek wędruje do szpitala na operację serca. Przyjechałem na Sontarę, żeby trochę ochłonać i nie potrzeba mi tu żadnej rozkapryszonej, jazgotliwej panienki do towarzystwa.

– To ja jestem tym braciszkiem – przypomniał Vince. – A Gingie wcale nie jest jazgotliwa i rozkapryszona. Ma tylko trochę... oryginalne podejście do życia.

– Nie ma mowy, Vince.

– Zanim wsadzę ją do samolotu, nakładę jej w głowę, ile się da.

– Vince, nie zrobisz mi tego.

– Gdybym wiedział, że jest tam z tobą, spałbym spokojnie.

– Wykluczone.

– Miałbyś ją trochę na oku.

– Za nic.

– Gdybyś zadbał o to, żeby się nie wydało, że tam siedzi...

– Vince, czy ty słyszysz, co ja mówię?

– Ależ stary. Nigdy dotąd cię o nic nie prosiłem. To jest dla mnie bardzo ważne.

Roe. Zdjąłbyś mi z serca ciężki kamień.

– Na Sontarze nie ma miejsca na twój „ciężki kamień” – protestował Roe, ale czuł, że jego opór słabnie.

– Będzie cicha jak myszka – obiecywał Vince.

– Czy naprawdę nie ma innego miejsca na świecie na zdetonowanie tego granatu? – Roe próbował jeszcze się przeciwstawić.

– O, cholera, moje serce... – zajęczał Vince.

– Dobra, biorę ją. – Roe skapitulował. – Ale jak tylko złapiesz drugi oddech, natychmiast ci ją odstawiam. Jasne?

– Nie ma sprawy – zgodził się Vince.

– I żeby nie było wątpliwości – przyjechałem tu po spokój i jeśli tylko ona zacznie mi go zakłócać, natychmiast stąd wylatuje. Uświadom jej to.

– Oczywiście – przystał Vince ochoczo. – Coś jeszcze?

– Tak – warknął Roe. – Kiedy przyjeżdża?

– Ma zarezerwowany bilet na jutro wieczór.

– Dobra. Będę czekał.

– Czy mógłbyś ją odebrać z lotniska?

– Nie mam samochodu – uświadomił bratu Roe, zdecydowany zamknąć na tym rozmowę. – Korzystam tutaj z komunikacji publicznej i nie widzę powodu, dla którego ona też nie miałaby tak robić.

– Ale ty znasz drogę – napierał Vince. – I w dodatku mówisz po włosku.

– Niezupełnie – zaprzeczył Roe. – Jeżeli ta twoja gwiazda nawet z Palermo do Sontary nie potrafi dotrzeć sama, to lepiej na okres swojej rekonwalescencji wrzucić ją do zamrażarki.

– No dobrze, rób jak uważasz – ustąpił Vince. – Nie zwracaj nią sobie głowy. Nawet nie musisz wiedzieć, jak wygląda. Będzie na miejscu pojutrze. Tylko postaraj się być dla niej możliwie miły.

– No jasne – odparł kwaśno Roe. – W końcu to gwiazda.

Usłyszał w słuchawce głębokie westchnienie i dodał:

– Vince? Jeszcze jedno.

– Tak? – zapytał Vince niepewnie.

– Trzymaj się, chłopie.

W dwa dni później Roe wynajął samochód w Trapani, starym porcie na zachodnim wybrzeżu Sycylii. Jechał właśnie do Palermo, przeklinając pod nosem panujące na sycylijskich drogach prawo dżungli. Nigdzie, nawet w Kairze, nie widział tylu strażników naraz, co na autostradach i szosach ojczystej wyspy swojej matki. Prowadził już w życiu różne pojazdy, w różnych warunkach, i miał w tym wielką wprawę, a mimo to nie cierpiał podróżować po Sycylii samochodem. Z powodu jakiejś Gingie ryzykował dziś życiem, zamiast drzemać błogo na plaży koło domu albo pomagać Zu Aspanu w uprawie cytryn.

Właśnie bez większego przekonania dojadł lunch, kiedy zadzwonił telefon z Palermo. To była Gingie. Usiłowała mu coś wytłumaczyć. Po chwili swoje trzy grosze dołożył jakiś celnik, który przejął od niej słuchawkę. Roe nie pojmował do końca, o co chodzi, bo celnik mówił po włosku, a Roe nigdy nie nauczył się tego języka porządnie.

Nie miał pojęcia, jaką sytuację zastanie w biurze odpraw, gdzie zatrzymano Gingie. Powiedział im tylko, że natychmiast do nich jedzie. Ponieważ nie zdążył na prom do Trapani, zmuszony był poprosić jednego z rybaków, by przewiózł go na

łąd tuż po sjeście. Gdy dotarł na lotnisko Punta Raisi w Palermo i zobaczył Gingie, było już dość późno.

Siedziała sobie na biurku pośrodku zagraconego biura, w którym kłębili się różni mundurowi – policjanci, żołnierze i celnicy. Wśród obecnych Roe dostrzegł także fotografa, co sprawiło, że lekko ugięły się pod nim kolana. Najwidoczniej ktoś już wiedział, gdzie należy szukać Gingie.

Jak słusznie przewidywał Vince, Roe rozpoznał ją od razu. Choć tak niewiele miał wspólnego z amerykańską kulturą pop, nie mógł mieć wątpliwości, że to ona. Wygrywała coś na małym syntezatorze na baterie i była tym całkowicie pochłonięta.

Roe widział wcześniej jej zdjęcia i teledyski, ale to, jaka była w rzeczywistości, nieco go zaskoczyło. Kiedy wkroczył do biura i przedstawił się najbardziej obleganemu urzędnikowi, Gingie uniosła głowę. Zorientowawszy się, że przybył jej wybawca, wdzięcznie zeskoczyła z biurka i podeszła do niego.

Zauważył, że jest wysoka, niewiele niższa od niego, choć on sam miał ponad metr osiemdziesiąt. Była szczupła, miała długie nogi, drobne piersi i wąziutką talię, która kontrastowała z kobiecą krągłością bioder. Cerę miała mlecznobiałą i gładką jak niemowlę, usta pełne i podkreślone jaskrawoczerwoną pomadką, a jej oczy były niebieskie jak niebo nad Sontarą. Czarne jak smoła rzęsy i brwi zaskakująco korespondowały z krótką, roztrzępaną blond fryzurką. Zrobiła na nim dobre wrażenie.

– Gingie?

– Tak – potwierdziła. – A ty jesteś Prospero Hunter? Skrzywił się.

– Nazywaj mnie Roe. – Ilekroć ktoś używał pełnej wersji jego imienia, zawsze robiło mu się głupio.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałeś – powiedziała pospiesznie niskim miłym głosem. – Nie wiem, o co tu chodzi.

Roe zmierzył ją wzrokiem. Nawet jeśli celnicy nie wiedzieli, kim jest, sam jej ubiór musiałby zwrócić powszechną uwagę.

Miała na sobie jednoczęściowy kombinezon, uszyty z czarnego, lśniącego materiału i poprzecinany tu i ówdzie kreskami błyskawicznych zamków, które nie miały żadnego praktycznego zastosowania, za to niezwykle pobudzały wyobraźnię.

Roe przybrał srogi wyraz twarzy.

– Sprawdźmy najpierw, w czym rzecz – rzucił krótko.

– Nie podoba im się moja apteczka – wyjaśniła Gingie.

– Twoje co?

– *Prego, signore* – zwrócił się do Roe jeden z celników i wskazał mu walizkę na sąsiednim biurku. Obok niej stało opróżnione drewniane pudło w orientalne wzory, a jego zawartość ułożona została starannie na krawędzi pulpitu.

Roe dostrzegł od razu podejrzenie wyglądającą torebkę z przezroczystego plastiku. Wszystko nagle stało się jasne.

– Na miłość boską – jęknął i spojrzał na Gingie z politowaniem. – Czyżbyś nie mogła się bez tego obejść?

Jej błękitne oczy otworzyły się szeroko z wyrazem najwyższego zdumienia.

– Staralam się wziąć ze sobą tylko to, co niezbędne – odpowiedziała z wahaniem. – Ale Letycja powiedziała, że lepiej być przygotowanym na najgorsze.

– Jaka znów Letycja? – zapytał.

– Moja siostra.

Czyżby jej własna siostra dostarczała jej towaru?

– Jest homeopatką – dodała Gingie niewinnie.

– Homeopatką? – powtórzył Roe jak automat. Obrzucił wzrokiem inne torebki i buteleczki z płynami, ustawione na blacie biurka.

– Gingie – przemówił głucho. – Co to za świństwa?

– O rany, nie pamiętam, jak to się nazywa – odpowiedziała zatroskanym tonem.

– Letycja dała mi całą listę, ale chyba gdzieś ją posiałam. Za to dobrze pamiętam, co jest na co – dodała.

Starając się za wszelką cenę nie tracić nad sobą panowania, Roe zapytał:

– A to konkretnie jest niby na co?

– To? Trzeba rozpuścić jedną uncję w przegotowanej wodzie i... – Pochyliła głowę i wyglądała przez moment na zawstydzoną. – To reguluje trawienie – dodała.

– Chcesz powiedzieć, że cały ten towar to ziółka i suszone korzonki?

– No tak. I jeszcze krople. A co sobie pomyślałaś? – Po chwili nagle zrozumiała i spojrzała na niego z przerażeniem. – No, nie! Myślisz, że oni mogli wziąć to za...

Roe pokiwał smętnie głową dziwiąc się, jak mogła być aż tak naiwna.

– Coś podobnego! – Była najwyraźniej poruszona do żywego. – Po wszystkich moich oficjalnych dementi, we wszystkich możliwych środkach masowego przekazu, nawet przez moment nie pomyślałam, że oni mogliby mnie wziąć za...

– Obawiam się, że oni nie oglądają MTV, Gingie. Rozejrzała się dokoła, badając surowe, uważne oblicza celników.

– No, chyba nie – przyznała potulnie. – To co teraz zrobimy?

– Co m y zrobimy? – Roe najchętniej wsadziłby ją w najbliższy samolot do

Nowego Jorku, tylko że biedny Vince, jak nic, zasłabłby na jej widok.

– Ty usiądziesz w kącie, o tam, i nie będziesz się wtrącać, a ja postaram się wszystko wyjaśnić.

Gingie spojrzała niechętnie na wskazany przez niego kąt biura, zmarszczyła brwi i zaproponowała:

– Może jakoś ci pomogę?

– Siadaj – uciął dyskusję.

Przez pół godziny konferował z jednym z celników, który szczęśliwym trafem mówił trochę po angielsku. Pokonując językową barierę, wszelkimi możliwymi sposobami Roe zdołał jakoś wytłumaczyć całe nieporozumienie. Jeden z mundurowych pozbierał drobiazgi Gingie i zapakował je do walizki. Roe dał znać dziewczynie, że mogą już sobie pójść.

– A moje leki? – zapytała, zrywając się na równe nogi.

– Zostają tutaj, Gingie.

– Jak to? A jeśli się rozchoruję?

Roe westchnął, rozbrojony bijącą z jej spojrzenia konsternacją, pomieszaną z wyrazem dziecinnej ufności. Miała nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Zdziwił się słysząc swoje własne słowa:

– Może coś się da zrobić po tym, jak wszystko to oddadzą do analizy, okay?

– Dziękuję, Roe! – Gingie uśmiechnęła się do niego zniewalająco.

W tym samym momencie błysnął flesz. Roe błyskawicznie odwrócił się na pięcie, a ponowny błysk oślepił go kompletnie. Mrugając bezradnie, warknął pod adresem fotografa najbardziej wulgarnie przekleństwo, jakie znał. Mężczyzna uczynił szybki odwrót, ale Roe nie miał żadnych wątpliwości, że fotki w krótkim czasie zostaną gdzieś opublikowane.

– Wiejmy stąd – zdecydował, marząc już o błogim zaciszu Sontary. Uniósł energicznie ciężką walizę Gingie. – To twój cały bagaż?

– Nie – zaprzeczyła. – Reszta jest tam – wskazała spory stos, na który składało się pięć walizek różnej wielkości, dwie płócienne torby i kuferek na obuwie.

– Które są twoje?

– Wszystkie – odpowiedziała spokojnie.

– Wszystkie?! – powtórzył z niedowierzaniem, a gdy przytaknęła, zapytał z irytacją w głosie: – Czy to twoje mienie przesiedleńcze?

– Ależ nie. Staralam się zabrać tylko niezbędne minimum.

Roe poczuł nagły ból głowy.

– W porządku – mruknął zrezygnowany. – Poszukam bagażowego.

Kiedy powrócił zobaczył, że Ginge zdążyła uzupełnić swój strój ekcentrycznym czarnym kapeluszem o szerokim rondzie i parą ogromnych, przeciwsłonecznych okularów.

– Co to za maskarada, do ciężkiego diabła? Zsunęła okulary na czubek nosa i posłała mu dość niepewne spojrzenie.

– To mój kamuflaż – wyjaśniła. – Vince uważa, że powinnam starać się nie zwracać powszechnej uwagi.

Roe popatrzył na nią i poczuł, że ogarnia go jakaś bezsilna desperacja.

Rozdział 2

Załadowanie bagażu do samochodu wymagało wiele wysiłku i pomysłowości. Roe uświadomił dziewczynie, że auto specjalnie dla niej wynajął w Trapani. Była lekko zażenowana. Nigdy dotąd nie musiała myśleć praktycznie. Od lat ktoś inny zajmował się jej bagażem i nie miała bladego pojęcia o tym, jakie problemy czekają damę podróżującą z sześcioma walizkami, dwiema torbami i kuferkiem na buty.

Gdy wsiadali do samochodu, Roe oświadczył:

– Musisz wiedzieć, że na Sontarze nie ma *cambio*.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. – Gingie zerknęła na niego z ukosa.

– Na wyspie nie ma *bureau d'échange* – powiedział dobitnie. Gingie zmarszczyła brwi ze zdumienia. – Nie wymieniają waluty! – Zaczynał tracić cierpliwość.

Kiedy przybierał gniewny wyraz twarzy, stawał się podobny do matki. To pewnie jej, Adelinie Marino, włoskiej gwiazdki filmu, zawdzięcza swoją urodę, pomyślała Gingie. Miał kręcone, gęste, kruczoczarne włosy i śniadą cerę. Rysunek jego twarzy był wyrazisty i męski dzięki silnie zaznaczonemu podbródkowi i odziedziczonym po matce, lekko egzotycznym, wystającym kościom policzkowym.

Był też bardzo wysoki. Gdy na niego patrzyła, musiała lekko unosić głowę. Zauważyła, że ma niezwykle oczy. Nie były tak czekoladowobrnatne jak oczy matki lub Vince'a, lecz jasnobrązowe z bursztynowymi iskierkami. Namiętne, inteligentne i tajemnicze...

– Gingie? – Miał lekko chropawy tembr głosu.

– Wymiana waluty? – ocknęła się. – No tak, oczywiście! Mam przecież чеки podróżne! – Triumfalnie sięgnęła do portfela.

Roe westchnął zrezygnowany.

– Jak już powiedziałem, tam nie ma wymiany, więc lepiej zrealizuj чеки tutaj, zanim pojedziemy.

– Pomożesz mi? – zapytała.

– Czy pomogę? – Był zaskoczony. – Gingie, objechałaś świat dwukrotnie dookoła, wiem, bo Vince zewsząd przysyłał mi widokówki. Nie wmawiaj mi, że to dla ciebie taka nowość.

– Masz rację. Jestem w końcu dorosła. Zaczekaj tu, a ja wymienię pieniądze.

– Gingie – powstrzymał ją w pół kroku. Wskazał jedną z toreb na siedzeniu auta. – Zauważyłem, że tam trzymasz paszport. Weź go, bo ci się przyda.

– Do czego?

– Będziesz się musiała wylegitymować – odpowiedział cierpko.

– Aha, no jasne... – Przez trzy ostatnie lata nikomu i nigdzie nie musiała okazywać dokumentów. Wydobyła paszport z torby. – Zaraz wracam.

– Pójdę z tobą – skapitulował Roe.

Wyraźnie ucieszyła ją ta zmiana frontu, ale zaprotestowała.

– Nie ma potrzeby. Może się czegoś nauczę.

Jechali ciemną szosą ku zachodowi.

– Będziemy musieli zatrzymać się na noc w Trapani. Sontara to prawdziwy koniec świata – powiedział Roe.

– Wiem. Vince mówił, że kursuje tam tylko jeden prom dziennie. I podobno nie ma nawet samochodów... O, do licha. Co pocniemy z moim bagażem?

– Mój wuj ma pojazd zaprzężony w osła.

Ukradkiem obserwowała jego profil. Prowadził pewnie i ostrożnie, nie odrywając wzroku od drogi. Mimo że inne auta ostro szarżowały, Gingie czuła się bezpiecznie.

– Jak udało ci się dziś wydostać z wyspy? Zdążyłeś na prom?

– Nie, było już za późno. Przewiózł mnie znajomy. Teraz, po zmroku, nie mogę go o to prosić. Zatrzymamy się w hotelu w Trapani. Jutro złapiemy poranny prom.

Gingie przytaknęła i nadal obserwowała go w półmroku. Próbowała doszukać się podobieństwa do ojca. Jordana Huntera spotkała tylko raz, na ceremonii wręczenia nagród w Nowym Jorku. Nie byli do siebie zbyt podobni, nawet zważywszy różnicę wieku. Jordan Hunter był mężczyzną smukłym i dystyngowanym, a Roe miał sylwetkę barczystą i muskularną. Jego pełne, zmysłowe usta były ustami południowca. Już wcześniej zastanowiły ją blizny na jego twarzy. Wyglądały jak ślady po pazurkach jakiejś kobiety i dodawały jego obliczu niepokojącej stanowczości. W zestawieniu z krępy, niewysokim, wiecznie gadającym i kręcącym się nerwowo Vince'em, Roe był skupiony i napięty jak kot czający się do skoku. A jednak Gingie zatęskniła nagle za Vince'em. Jeszcze nigdy nie wyruszała w świat sama i poczuła, jak ogarnia ją nostalgia. Chciała mieć przy sobie Milo, Sandy, Letycję, a najlepiej całą kapelę...

Zwinęła się w kłębuszek na siedzeniu auta, położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy.

– Obudź się, Gingie.

Uniosła głowę, otworzyła oczy i przekonała się, że samochód stoi zaparkowany przy krawężniku ulicy. Ziewnęła i opadając bezwładnie natrafiła na jakieś ciepłe, wygodne oparcie. To chyba jego ramię, pomyślała i poczuła się rozkosznie.

Zaśmiał się cicho tuż nad jej uchem.

– Nie spałaś w samolocie?

– Nie – westchnęła. – Nie potrafię zasnąć w samolocie. Za ciasno.

– Zdobądź się na ostatni mały wysiłek, a już za chwilę wylądujemy w łóżku – obiecywał. – To znaczy... w dwóch łózkach. Ty w swoim, a ja... Gingie! Obudź się wreszcie.

Wyprostowała się gwałtownie.

– Jest tu gdzieś hotel? – zapytała przytomnie.

– Owszem. Po drugiej stronie ulicy. Możemy zostawić bagaż w samochodzie na parę minut.

Przemierzyli ulicę i zbliżyli się do frontu eleganckiego hotelu.

– Czy długo spałam?

– Mniej więcej godzinę.

– Jestem głodna.

– Najpierw się zameldujemy, a potem postaramy się coś zjeść.

– Vince twierdzi, że sycylijskie jedzenie jest pyszne.

– Najlepsze na świecie – potwierdził Roe, rozglądając się dokoła z lekkim niepokojem.

– Co się dzieje? – zapytała Gingie.

– Zwracamy na siebie powszechną uwagę.

– Tak? – Dziewczyna zerknęła na boki. – Powinam chyba nałożyć ciemne okulary.

Roe omal nie parsknął głośnym śmiechem.

– Obawiam się, że niewiele by pomogły, Gingie.

Roe zapytał recepcjonistę, czy nie znajdą się dwa wolne pokoje. Mężczyzna spojrzał na Gingie i natychmiast ją rozpoznał. Uścisnął dłonie dziewczyny i zaczął do niej przemawiać w tempie karabinu maszynowego, podniecony i zachwycony. Gingie uśmiechnęła się, kiwnęła wdzięcznie głową i zerknęła na Roe.

– Co powiedział?

– Że to wielki honor i zaszczyt gościć cię tutaj i że uczyni wszystko, abyśmy

czuli się dobrze w progach jego skromnego hotelu.

Gingie podziękowała recepcjoniście uprzejmym uśmiechem i obdarowała go kilkoma autografami, podczas gdy Roe dopełniał formalności meldunkowych. Recepcjonista poprosił dziewczynę o paszport, wyjaśniając przepraszająco, że włoskie prawo tego wymaga. Roe zerknął na dokument dziewczyny i na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Virginia Potter?

– Tak się naprawdę nazywam – wyjaśniła. – Ale cała rodzina nazywała mnie Gingie. Kiedy podpisywałam z Vince’em kontrakt, zdecydował, że zostaniemy przy tym imieniu. Mówi, że nie potrzebuję nazwiska, bo i tak jestem unikatem.

– Ach, rozumiem... – odpowiedział Roe, podpisując się w księdze meldunkowej. – Poproszę portiera, żeby zajął się twoim bagażem. Czy dwie torby wystarczą ci na tę noc?

„Trochę oryginalne podejście do życia”. Roe przeklinał w duchu Vince’a, wspinając się do góry po schodach. Gingie okazała się zjawiskiem nie z tego świata, niewinnym dzieckiem. Z dokumentów wynikało, że ma trzydzieści jeden lat. Objechała świat dwukrotnie dookoła, a nigdy nie zdarzyło jej się korzystać z czeków podróжных. Zabrała ze sobą na Sontarę więcej bagaży niż księżniczka Diana w podróż poślubną. I na dodatek była najwyraźniej przekonana, że nie zwróci na siebie niczyjej uwagi, zakładając na tę okazję zwariowany obcisły kombinezon.

Czy wysłanie jej z Nowego Jorku na Sontarę bez eskorty tuzina tajniaków nie było ze strony Vince’a nazbyt pochopne? A przede wszystkim, zastanawiał się Roe, skąd się wzięła ta jej niewiarygodna naiwność?

Roe wiedział co nieco od Vince’a na temat środowiska muzyków rockowych. Przypominało bagienko Hollywoodu – było równie krzykliwe, rozpasane i niebezpieczne. W obydwu tych światkach chętnie ulegano pokusom, jakie dają alkohol, narkotyki i powierzchowny, przypadkowy seks.

Pod wrażeniem przykrych wspomnień Roe zamknął oczy. Zawahał się, usłyszawszy ciche pukanie do drzwi.

– Roe? – Głos Gingie zabrzmiał melodyjnie i nieśmiało. – Przed kolacją wezmę prysznic i przebiorę się, dobrze?

– Ja też się wykapię – odkrzyknął i zaczął się rozbierać. Bogu dzięki! Gingie ma zamiar się przebrać! Musiał przyznać w duchu, że jej szokujący strój nie przeszkodził mu zauważyć, jak piekielnie była seksowna. Te ciuszki na większości

kobiet wyglądałyby absurdalnie. Gingie prezentowała się w nich prowokacyjnie, intrygująco i ponętnie.

No jasne, musiała być seksy. W przeciwnym razie nie została by gwiazdą rocka. Przypuszczał jednak, że będzie na te wdzięki całkowicie odporny...

Pokiwał głową z politowaniem nad samym sobą i wskoczył pod prysznic. Odkręcił mocniej kurek z gorącą wodą, żeby się trochę rozluźnić. Jak dotąd podobało mu się wiele kobiet, ale ta wprawiała go w zakłopotanie. Tak dawno już nie czuł podobnego dreszczyku, jak teraz na widok magnetyzującego kołysania najbardziej kobiecych pod słońcem bioder...

Zdecydował, że przyda mu się nieco chłodniejszy prysznic.

Gdy zobaczył ją za jakiś czas na progu apartamentu, zrozumiał, dlaczego swój czarny kombinezon i zwariowany kapelusznik uznawała za niepozorne odzienie.

– Czy coś nie tak? – zapytała, widząc zdumienie na jego twarzy.

– Nie, skądże. Ale może jednak trochę przesadziłaś.

– Włosi są bardzo szykowni – zaoponowała. – Chcę zrobić jak najlepsze wrażenie.

Jej właściwy strój był w zasadzie dość prosty: jedwabny seledynowy komplet złożony ze spodni i bluzki bez rękawów. Gwoździem programu okazało się natomiast jej wierzchnie okrycie. Była nim pelerynka w kształcie ośmiornicy, której osiem rękawów falowało przy każdym poruszeniu, skutecznie utrudniając przejście przez drzwi, a nawet czyniąc je ryzykownym.

Pelerynka ta, mieniąca się wszystkimi kolorami oceanu, wprawiła Roe w osłupienie. Gdy już się trochę oswoił z tym widokiem, pomyślał jednak, że najzabawniejsze jest to, iż Gingie wygląda w tym cudownie. Jak jej się to udawało?

Zastanawiał się nad tym całą drogę do gospody. Może to sposób, w jaki się poruszała, wdzięczny i bezwiednie zmysłowy, sprawiał, że ośmiornicami szata wyglądała na niej całkowicie naturalnie. Gdy dotarli do celu, dziewczyna dość długo wyplątywała się z odzienia. Potem Roe musiał nakłonić kelnera sutym napiwkami do znalezienia miejsca na uboczu, gdzie cenny strój nie byłby narażony na zniszczenie.

– Widzisz, moja pelerynka wszystkim się tu podoba – powiedziała z przekonaniem Gingie.

– To mnie nie dziwi – oświadczył Roe cierpko.

– Sycylijczycy uwielbiają wszystko, co jest w jakiś sposób dramatyczne. Poza tym, ośmiornica jest tu jednym z podstawowych dań i popularnym symbolem.

Między innymi mafii.

– Naprawdę? – W jej reakcji było tyle przejęcia, że Roe aż się uśmiechnął.

– Kiedy się uśmiechasz, wyglądasz jak twój ojciec – oznajmiła.

Roe spoważniał.

– A więc Vince powiedział ci o moim ojcu?

– Odświeżył moją pamięć, to wszystko. Jako nastolatka zaczytywałam się w biografiami ludzi Hollywoodu. Byłeś sławnym dzieckiem. Syn najpiękniejszej kobiety świata, jak mówiło się o Adelinie Marino, i brytyjskiego piosenkarza, Jordana Huntera. Wszyscy myśleli, że trafisz do filmu jeszcze jako chłopiec.

Roe spoglądał gdzieś w przestrzeń.

– Na szczęście matka nigdy nie próbowała mnie eksponować. Chciała raczej, żebyśmy wyrastali w podobnej atmosferze jak ona.

– A w jakiej atmosferze ona wyrastała? – Gingie dopytywała się ciekawie, podczas gdy kelner stawiał na stole butelkę miejscowego wina.

– W absolutnym spokoju. Na Sontarze.

– Naprawdę? Więc będę mieszkać w jej rodzinnym domu?

– Nie. W domu, w którym się chowała, mieszka mój wuj. Kiedy umarł ojciec Vince'a, jej pierwszy mąż, rozpoczęła budowę własnego domu nad morzem. Ten dom należy teraz do Vince'a i do mnie.

Przerwał na chwilę, żeby rozlać wino do szklanek, lecz Gingie go powstrzymała.

– Ja nie piję. Nie lubię smaku alkoholu – wyjaśniła.

– Milo wprawdzie twierdzi, że kobieta z klasą powinna kochać wino, kawior i Mahlera, ale ja za tym wszystkim nie przepadam.

– Milo? – To imię z czymś się Roe kojarzyło.

– Milo Wake. Gra w moim zespole na organach elektronicznych. Czemu sobie nie nalewasz? – zachęcała, widząc, że jego szklanka pozostała pusta. – Nie żałuj sobie tylko z tego powodu, że ja nie piję.

– Hmm, ja właściwie też nie piję – odrzekł.

– W takim razie może zwrócimy całą butelkę. Kiedy wrócił kelner, Gingie nakłoniła Roe, by nie starał się tłumaczyć jej karty dań, lecz sam zdecydował, co zamówić.

– Jem wszystko – przekonywała go. – A w dodatku sporo. Zwłaszcza że jestem piekielnie głodna.

Jak na tak szczupłą osobę, Gingie rzeczywiście pochłaniała ogromne ilości jedzenia, o czym Roe wkrótce przekonał się naocznie.

– Czy zawsze tyle jadasz? – zapytał z nutką niepokoju w głosie, gdy kończyła drugi talerz spaghetti.

– O, nie. Kiedy jestem w trasie, jadam znacznie więcej, żeby nie opaść z sił – wyznała uczciwie.

– Czy jeszcze masz na coś ochotę? Zastanowiła się, ale w końcu zaprzeczyła.

– Raczej nie. Słyszałam, że ludzie z reguły tyją, kiedy są na wakacjach. To moje pierwsze wakacje w życiu. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zaczną się na dobre – szczebiotała.

Roe spojrział na nią w osłupieniu. Miała takie naiwne, szczere spojrzenie. Nie, nie naiwne. Raczej bezmyślne. Jego brat mógł lada moment znaleźć się na stole operacyjnym, a ta głupiutka blondynka plotła coś na temat swoich wakacji! Roe zdał sobie sprawę z tego, że nawet nie zapytał jej dotąd o Vince'a.

– Jak miewa się mój brat? – Pytanie zabrzmiało ostro.

– Doskonale. – Gingie upiła łyk pomarańczowego soku z czwartej już z kolei szklanki i dodała: – Przestrzegam, że nie mogę sprawiać ci najmniejszych kłopotów, bo miałeś jakieś ciężkie przejścia i możesz być drażliwy.

– Co jeszcze mówił?

– Och, wiele rzeczy. Powiedział, że na tle rodziny byłeś zawsze odmieńcem. Nie rozumie, jak facet z twoimi możliwościami i zdolnościami może marnować się gdzieś na Sontarze. Albo koczować w namiotach w niedostępnych zakątkach takich krajów, których nazw nawet nie sposób zapamiętać.

– Jakbym go słyszał – westchnął Roe.

– Bo to był dokładny cytat – zapewniła Gingie. – Ale mówił też, że jesteś jego młodszym braciszkiem (i że cię bardzo kocha.

Roe zerknął na swój talerz, by ukryć wzruszenie. I Gingie przyglądała mu się z zainteresowaniem, i Nieoczekiwanie pogładziła palcami jego policzek, a jej: gest był jakby przypadkowy, nieświadomy.

– Skąd się wzięła ta blizna? – zapytała.

– Co? – ocknął się, próbując się nie poddawać elektryzującemu dotykowi subtelnych palców.

– Kto ci to zrobił?

Roe odsunął stanowczo jej dłoń.

– To robota mojej młodszej siostry. Córki mojego ojca i Candy Jirrell – wyjaśnił.

– Zaatakowała cię w ten sposób? – zdziwiła się.

– Nie była wtedy sobą – odpowiedział Roe enigmatycznie.

Uświadomił sobie, że wciąż ściska jej dłoń w swojej, po tym, jak oderwał ją od twarzy. Była szczupła i delikatna i przyłapał się na tym, że ma ochotę wodzić ręką dalej, ku górze, aż po biały skrawek jej ramienia, wyłaniający się spod jedwabnego obramowania bluzki. Napotkał nagle jej spojrzenie i poczuł jakieś gwałtowne pragnienie, jakiś głód, silniejszy od pożądania i bardziej dojmujący niż tęsknota.

Nic dziwnego, że ta kobieta ma na swoim koncie dwie platynowe płyty, a bilety na jej koncerty, jak zapewniał Vince, znikają zwykle w błyskawicznym tempie. Jakiegokolwiek czary tkwiły w tej dziewczynie, były one skuteczne. Nie należało o tym zapominać.

Zapłacił rachunek, dziwiąc się w duchu samemu sobie, że, odkąd się zjawiała, zmuszony jest nieustannie przywoływać się do porządku. Zaczął się obawiać depresji, z której dopiero co się wyleczył.

Gingie została oczywiście w gospodzie rozpoznana i poproszona o złożenie podpisów na kartach dań oraz podstawkach pod talerze. Uczyniła to z wdziękiem i podziękowała właścicielowi za wspaniałe dania. Ponieważ, jako typowy Sycylińczyk, uwielbiał kobiety z apetytem, wręczył Gingie bukiet kwiatów, pudełko wykwintnych orzechowych łakoci i poprosił, by odwiedzała gospodę, kiedy tylko będzie miała czas.

Gdy wyszli, Roe próbował sobie przypomnieć videoclipy Gingie, które oglądał w Stanach trzy lata temu. Pamiętał, że nie stosowała na scenie typowych chwytów, w których przodowały jej liczne, skapo odziane i kręcące biodrami, konkurentki. Nie musiała. Wystarczyło, że patrzyła w kamerę i samo jej spojrzenie zapierało dech. Gdy zaczynała śpiewać, serce podchodziło do gardła. Gdy tańczyła, wzbudzała pragnienie posiadania jej na wyłączność, z dala od tłumów, które wciąż ją otaczały.

– O czym myślisz? – zapytała Gingie niespodziewanie. – Jesteś cały napięty jak struna.

– Nic takiego. – Usiłował się rozluźnić, lecz bez powodzenia.

Tak, to było trzy lata temu. Gingie była już na szczycie od paru lat, ale Roe nie miał jakoś wcześniej okazji widzieć wylansowanej przez Vince'a sławy. W drodze z Zanzibaru do Los Angeles zatrzymał się akurat na weekend w Connecticut, żeby spotkać się z rodziną. Oglądał teledyski tylko dlatego, by nie sprawić przykrości bratu, który bardzo nalegał. Zadziwił go wtedy jej talent. Miała głos o ogromnej skali, jego brzmienie przypominało najlepsze wykonania standardów jazzowych. Gingie wybrała jednak rocka. Śpiewała i tańczyła tak zmysłowo, że rozpaliała wyobraźnię, mimo że była powściągliwa i w ubiorze, i w gestach. W jej

videoclipach nie można się było doszukać niczego nieprzyzwoitego, a jednak miało się wrażenie, że balansuje na jakiejś granicy, że rzuca światu tajemnicze, kobiece wyzwanie, niebezpieczne i pociągające zarazem. Roe patrząc w ekran oczekiwał spełnienia kuszącej obietnicy, jaka kryła się w jej płonącym spojrzeniu, w jej kształtnych biodrach i prowokującym klimacie jej piosenek.

Oczywiście to było tylko złudzenie. Roe doskonale wiedział, jak produkuje się tego typu efekty. Mogły robić na nim wrażenie podczas oglądania, ale nigdy nie zapominał, jak starannie były fabrykowane. Pogratulował więc Vince'owi tak udanej podopiecznej i na tym się skończyło.

A teraz przekonał się, że taka jest naprawdę – zaskakująca, fascynująca i budząca niepokój. Zu Aspanu na pewno wiedziałyby, jak określić to jednym słowem, pomyślał Roe. Ten stary człowiek zawsze znajdował trafne powiedzonka na każdą okazję.

W drodze do hotelu Gingie próbowała kontynuować rozmowę, lecz Roe jej nie podtrzymywał. Nie chciał, by podsycala dziwny płomień, który w nim wznieciła. Kiedy mówiła do niego, jego wyobraźnia zaczynała płatać figle. Wydawało mu się, że tonie w jej ogromnych błękitnych oczach i słyszy jej namiętny szept w półmroku własnej sypialni. Lepiej zachować dystans, postanowił, odprowadzając ją do windy. Tak mu podpowiadało doświadczenie.

Gdy byli już pod drzwiami pokoiów, Gingie, jakby wyczuwając jego niepokój, zapytała niewinnie:

– Muszę zadzwonić do domu. Pokażesz mi, jak się stąd telefonuje?

Roe dość szybko zdołał uzyskać sygnał centrali międzynarodowej. Oddał dziewczynie słuchawkę.

– Teraz już tylko wykręć swój numer – powiedział. Za chwilę był już u siebie i zaczął się rozbierać lekko skrępowany świadomością, że Gingie jest tuż za ścianą. Gdy wchodził do sypialni, usłyszał jej głos.

– Halo, Sandy? To ja!

Starannie zamknął za sobą drzwi i położył się na łóżku w kompletnej ciemności. Usiłował przypomnieć sobie, co takiego słyszał o Gingie, zanim ją poznał. Zdawało mu się, że miał miejsce jakiś skandal, po którym Vince chciał na jakiś czas ukryć swoją gwiazdę przed ludzkimi spojrzeniami.

Sandy... Tak, to było to. Nazwisko Sandy Stephen wiele mu mówiło, chociaż zupełnie nie interesował się światem estrady. Facet miał niespełna dwadzieścia jeden lat, a już narobił wokół siebie wiele szumu. Jego piosenki nie schodziły z czołowych miejsc na listach przebojów już od paru dobrych lat.

Ponadto pisano o nim jako o towarzyszu życia dziesięć lat starszej od niego kobiety. Była nią Gingie.

Przypominał sobie coraz więcej. Musiał widzieć jakąś czarno-białą fotografię przedstawiającą Gingie w centrum pewnej niejasnej sceny. Wspomnienie to rozbawiło go. Zdjęcie przedstawiało Gingie wywalającą talerz z jedzeniem na głowę szefa firmy płytowej. O nie, to na pewno nie poprawiło humoru Vince'owi, choć samemu Roe wydało się szalenie zabawne.

Brukowa gazeta, którą miał wtedy w ręku, snuła domysły na temat Gingie i towarzyszących jej mężczyzn, którymi byli Sandy Stephen i Milo Wake, oraz nieszczęsnego, lekko podpitego dyrektora wytwórni.

Roe poszedł do łazienki. Czuł lekki niesmak. A czego innego można się było spodziewać? Czy Gingie mogła być inna niż całe to środowisko, z którym nigdy nie chciał mieć do czynienia?

Już miał wskakiwać do łóżka, kiedy usłyszał, że go woła. Musiał na powrót włożyć dzinsy i, zapukawszy uprzednio, zajrzał do jej pokoju. Stała przy telefonie, oświetlona tylko wpadającą przez okno księżycową poświatą. Jej krótkie blond włosy były zmierzwione, a cera miała alabastrowo biały odcień. Wyglądała zaskakująco młodo i niewinnie.

– Spałeś już? – Jej głos miał miodowe brzmienie.

– Jeszcze nie. O co chodzi, Gingie? – zapytał ostrożnie.

– Przykro mi, że wciąż zawracam ci głowę, ale nie widziałam, jak to robiłeś...

– Jak robiłem? – zapytał odruchowo.

Zmrużył oczy. Gingie oblizwała wargi.

Dzisiejszą noc mam zamiar spędzić samotnie, przekonywał sam siebie. A jednak zrobił krok w jej kierunku i poczuł, że jego serce zaczyna łomotać, jakby chciało się wyrwać z piersi. Wzrok Gingie błędził po jego torsie. Roe usłyszał jej szybki, urywany oddech. Nie zrobię tego, obiecywał sobie w duchu, ale nie było w tym cienia szczerości.

– Jak robiłeś, żeby się połączyć ze Stanami... – powiedziała wreszcie Gingie.

– Połączyć? – powtórzył bezsensownie. Nie posuwał się już w jej kierunku, lecz po prostu się na nią gapił.

Gingie pokiwała głową.

– No tak. Muszę zadzwonić do Mila. – Zapadło drugie milczenie. Gingie podniosła w końcu słuchawkę. – Czy mógłbyś mi pomóc?

Roe wykręcił odpowiedni numer i bez słowa pomaszerował do swojego pokoju. W głębi duszy modlił się o to, żeby ta podłożona mu przez Vince'a bomba

zegarowa znalazła się jak najdalej stąd.

Rozdział 3

Sontara znajdowała się w odległości trzydziestu kilometrów na północny zachód od Trapani. Miała piętnaście kilometrów kwadratowych powierzchni i tylko jeden trakt zasługujący na miano drogi. Na Sontarze nie było też samochodów. Pewnego dnia don Ciccio postanowił wprawdzie kupić fiata i przetransportować go na wyspę, ale Signor Sellerio, dowiedziawszy się o tym, wymógł na władzach lokalnych wydanie zakazu transportu samochodowego na Sontarze. Sprowokowany tym krokiem don Ciccio – Roe wymawiał jego nazwisko Czi-Czo – zakupił elektryczny pojazd, jakim posługują się gracze w golfa. Nikt nie wiedział, jak na to zareagować i tak już zostało. Don Ciccio przemieszczał się po wyspie nobilitującym go, w jego własnym mniemaniu, wehikułem, by podkreślić swój wysoki społeczny status.

Gingie z uśmiechem słuchała tych opowieści, które Roe wygłaszał beznamiętnym i uprzejmym tonem przewodnika wycieczek. Czuliła, że wciąż jest zły za to, że musiał wyruszyć po nią aż do Palermo i doholować aż tutaj.

Podczas wspólnego śniadania był dla niej dość szorstki i taki już pozostał przez resztę poranka. Teraz, gdy zbliżali się już do Sontary, stał się nieco bardziej rozmowny, lecz nadal był jakiś nieprzystępny.

– Dopiero od 1978 roku mamy na Sontarze elektryczność – oznajmił.

– Po Sontarze Hollywood musiało być dla twojej matki ogromną szansą – zagaiła Gingie.

– Nawet Rzym był dla niej potężną metropolią – odpowiedział. – Po wojnie wyjechała do stolicy w poszukiwaniu pracy. Na początku praktycznie przymierała głodem, bo cały przemysł filmowy dopiero odradzał się z ruin.

– I wtedy odkrył ją ojciec Vince’a i wykreował na wielką amerykańską gwiazdę – dokończyła Gingie historię, która była powszechnie znana.

Jak głosiła fama, znany producent amerykański ujrzał kiedyś fotografię Adeliny Marino i zaprosił ją na próbne zdjęcia. W miesiąc później młoda Sycylijka, znająca ledwie parę słów po angielsku, pojechała z nim do Hollywood, gdzie stał się jej menażerem, przyjacielem i w końcu mężem.

Roe nie chciał rozmawiać o matce. Odwrócił uwagę Gingie, wskazując odległy skrawek horyzontu.

– Stąd można już zobaczyć wioskę.

Brzeg wyspy zabudowany był szeregiem niedużych, kolorowych domków,

zwróconych frontami ku morzu. Nad zabudowaniami wznosiła się wieżyczka miniaturowej katedry, a u wybrzeża kołysały się niezliczone łodzie i łódeczki rybackie. Cały ten obrazek był obramowany malowniczymi skałami, zielonymi pagórkami i piaszczystymi wydiami, białymi jak śnieg.

– Jak tu pięknie! – wykrzyknęła z zachwytem Gingie. Roe rzucił jej krótkie spojrzenie, w którym kryła się satysfakcja. Jego wzrok stał się czujny i uważny, jak u polującego zwierzęcia. Wiatr rozwiewał mu ciemne włosy i unosił kołnierz kurtki. Na tle błękitnego śródziemnomorskiego nieba wyglądał trochę jak morski rozbójnik.

– Na wyspie mieszka około sześciuset ludzi – kontynuował rzeczowym, opanowanym tonem. – A wszyscy oni wiedzą bardzo tradycyjny żywot. – Rzucił jej ostre, znaczące spojrzenie. – Vince zapewniał mnie, że nie będziesz próbowała zakłócić tej harmonii. Zerknęła na niego niepewnie.

– W jaki sposób mogłabym zburzyć spokój sześciuset osób?

– Wywołałaś już jeden skandal na lotnisku.

– To nie była moja wina! – zaprotestowała.

– To prawda, tym razem nie. Ale jeżeli narobisz dalszych kłopotów, natychmiast odeślę cię z powrotem. Powiedziałem to Vince’owi i teraz powtarzam tobie.

Gingie próbowała go zrozumieć. Dopiero wczoraj dotarło do niej, że blizna na twarzy Roe to efekt jego zmagania z siostrą. Pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby Vince wtajemniczył ją przed przyjazdem nieco dokładniej w przyczynę złego samopoczucia brata. Kto wie, czy wówczas w ogóle zdecydowałyby się tu pojawić.

– No cóż, skoro już tu jestem, a Vince nie zaopatrzył mnie w bilet powrotny – powiedziała głośno – postarajmy się jakoś z tego wybrnąć. Spróbuję nie być dla ciebie kulą u nogi.

Popatrzył na nią w dziwny sposób, jakby oczekiwał, że powie coś więcej. Gingie jednak zamilkła.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Dobrze, że się w tym punkcie rozumiemy.

Na brzegu było wielu oczekujących. Jakiś potężnie zbudowany, opalony mężczyzna szykował się do rozładowywania towarów zgromadzonych na pokładzie promu. Dwóch innych, odzianych w kombinezony, czekało na pocztę, a starszawy farmer wyglądał klatek i skrzynek z domowym ptactwem. Wydawało się, że wszyscy oni są dobrymi znajomymi Roe, co na tak małej wyspie było czymś naturalnym. Mężczyźni zerkali na Gingie z ciekawością, a nawet próbowali

zagadać, lecz Roe bardzo energicznie przeprowadził ją przez tłum.

Doholował ją aż do zaprzęzonego w osiołka drewnianego wozu, przy którym kłócili się zawzięcie dwaj starsi mężczyźni. Obaj – jeden tęgi, a drugi chudy – krzyczeli tak głośno, że Gingie zastanawiała się, jakim cudem osioł może mimo to drzemać.

Roe wkroczył między mężczyzn i przemówił do nich językiem stanowiącym mieszaninę angielskiego z melodyjnym dialektem przypominającym włoski.

Obaj wyspiarze umilkli i spojrzeli na Gingie. Dziewczyna przyjrzała się z sympatią ich przyjaznym, pokrytym zmarszczkami obliczom i tajemniczym, ciemnym oczom. Grubas zbliżył się i ucałował dłoń Gingie z galanterią, która ją rozbawiła. By go jednak nie urazić, odplaciła promiennym uśmiechem. Mężczyzna coś powiedział i pokiwał na Roe, co było ewidentnym żądaniem przetłumaczenia.

Roe westchnął.

– Gingie, to jest właśnie don Ciccio. Mówi, że to zaszczyt gościć cię na naszej skromnej wyspie.

Zanim jeszcze Gingie odpowiedziała, drugi z mężczyzn odciągnął pierwszego za łokieć. Burknął coś do niego pod nosem, zdjął czapkę i zwrócił się do dziewczyny:

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mówił po angielsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

– Przedstawiam ci Zu Aspanu – powiedział Roe.

– Zu? – powtórzyła Gingie pytająco.

– Zu to po sycylijsku *zio* – wyjaśnił starszy, szczupły mężczyzna.

– A *zio* to po włosku wuj – uzupełnił informację Roe.

Gingie z uśmiechem ucisnęła toporną, spracowaną dłoń Zu Aspanu.

– Miło mi pana poznać. Coś panu przywiozłam. Gdyby ktoś pomógł mi wydostać bagaże... – urwała i spojrziała bezradnie w kierunku promu.

Roe, don Ciccio i Zu Aspanu wymienili po włosku kilka słów, po czym dwaj wyspiarze oddalili się w stronę przystani, zapamiętali mrucząc coś do siebie. Roe spoglądał przez chwilę w ślad za swoim wujem. Było coś ujmująco ciepłego w wyrazie jego twarzy. Gingie, obserwująca go ukradkiem, poczuła łaskotanie w gardle. Wyglądał przez chwilę zupełnie inaczej niż zwykle, młodziej i jakoś delikatniej.

Wyczuwała w nim tę samą siłę, która jej nakazywała pisać piosenki, to samo tajemnicze wyzwanie, które nęciło ją, kiedy patrzyła w oko kamery lub wsłuchiwała się w echa pustej sali koncertowej tuż przed występem. Wywoływał w

niej ten sam rodzaj radosnego podniecenia, co widok pierwszych rzędów słuchaczy, oczekujących na jej pojawienie się na estradzie.

Czy Vince wiedział o tym, jak fascynujący jest jego brat? Twierdził, że Roe jest człowiekiem, na którym można polegać, co między innymi oznaczało, że nie nadużyje zaufania Gingie. Poza tym, po dziesięciu razem przepracowanych latach Vince znał dobrze obyczaje Gingie. Wiedział, że sypia sama. Mimo to bardzo narzekał na jej zadziwiającą zdolność wpłytywania się w skandale i dawania pożywki wszelkim plotkom. Jakby na przekór temu, jak surowy wiodła żywot.

Cóż miała począć? Czy miała wyrzucić Mila ze swojego mieszkania? Przecież on nie miał dokąd pójść. Czy miała odtrącić Sandy'ego? Ten chłopak czuł się tak niepewnie na gruncie swojej nagłej kariery, że była jedyną jego zaufaną powiernicą na całym Wschodnim Wybrzeżu. A może miała nakazać swojej siostrze, Camilli, by wyrzekła się swoich radykalnych poglądów i przestała łądować w areszcie po każdej kolejnej demonstracji?

Westchnęła i w zamyśleniu głaskała delikatnie osiołka. Starła się zrozumieć wszystkie racje Vince'a, zwłaszcza po tym, jak zerwała z czwartą z kolei wytwórnią. Stało się to powodem wielu nieporozumień i długotrwałego konfliktu między nią a Vince'em. Gdy zaproponował jej samodzielne wakacje, miesiąc spędzony bez niczyjej kurateli w domu Roe, uznała to za dowód zaufania i symbol zawieszenia broni.

Oczekiwanie na bagaż trwało dobrą chwilę. Roe tłumaczył, że kapitan promu specjalnie opóźnił wyładowanie dobytku Gingie. Manifestował w ten sposób swoją niechęć do Zu Aspanu, który uraził go mocno ostatnimi czasy, niezbyt pochlebnie wyrażając się o łodzi. Następnie Don Ciccio długo i pieczołowicie układał bagaże na siedzeniach swojego pojazdu do gry w golfa, tylko po to, by podwieźć je mały kawałeczek i przerzucić do zaprzężonej w osła bryczki. Osiołek zdawał się rzucać ostrzegawcze spojrzenia, zaalarmowany okazałym rozmiarem ładunku.

– Lepiej późno niż wcale, no nie? – podsumował wysiłki Zu Aspanu, pomagając Gingie zająć strategiczną pozycję na szczycie całej góry waliz i toreb. Potem popędził osiołka i wóz ruszył ulicą. Upewniwszy się, że Gingie siedzi wygodnie, Roe zdecydował się towarzyszyć piechotą prowadzącemu osła za uzdę Zu Aspanu. Gawędzili serdecznie, maszerując ramię w ramię piaszczystą aleją wzdłuż miasteczka.

Droga biegła między dwoma pagórkami, a potem tonęła w zielonej obfitości winnych upraw i warzywnych ogrodów, utkanych sadzonkami oberżyny, sałaty I pomidorów. Strome wzgórza porastały oliwkowe gaje, cytrynowe i pomarańczowe

drzewka. Co jakiś czas któryś z uprawiających pola rolników machał do nich i pozdrawiał miłym słowem. Z czasem wydostali się z malowniczego otoczenia uprawnych pól na szlak nadmorski. Tutaj widoki okazały się jeszcze wspanialsze. Minęli parę zabudowań. Uwagę Gingie zwróciły sznury z rozwieszonym praniem, kolorowym i powiewającym na wietrze, oraz grupki dzieci baraszkujących pod czujnym okiem matek.

Dom Roe okazał się prosty, lecz na swój sposób piękny. Kamienny i dwupiętrowy, wznosił się w pewnej odległości od drogi i osłonięty był przed oczami ciekawskich rzędami drzew i krzewów. Bramę wejściową oraz ściany domu porastały pnące rośliny o żywych, jaskrawych barwach. Cała bryła budynku osadzona była na skraju skalnego urwiska, które u dołu przechodziło w piękny kawałek plaży obmywanej morskimi falami.

Wnętrze domu było przestronne i romantycznie staroświeckie. Wysokie sufity, ciężkie drewniane drzwi i podłogi z kamiennych płyt harmonizowały z uroczą różnorodnością włoskich mebli, dzieł sztuki i bibelotów. W pokoiku, wskazanym uprzejmie Gingie przez Roe jako jej własny, stało ogromne łóżko, pięknie rzeźbiony barokowy kredens oraz rustykalny kufer. Szeroko otwarte drzwi ukazywały nieduży taras z widokiem na morze.

Gdy cały bagaż wylądował już w pokoju Gingie, dziewczyna dała wyraz swoim zachwytom pod adresem willi, kwiatów i widoków.

– Hollywood nawet nie umywa się do Sontary – przekonywał ją Zu Aspanu. Stali przy barierce głównego tarasu na tyłach domu i przyglądali się morzu.

– Pan tam kiedyś był, prawda? – zapytała Gingie.

– Vince mówił mi, że w dzieciństwie często bywał pan w Ameryce.

– Tak – przytaknął starszy człowiek.

– Przez wiele lat Zu Aspanu pracował w Hollywood jako operator filmowy i wcale nieźle zarabiał – podpowiedział Roe. – Ale na koniec zdecydował się tu wrócić i osiąść na dobre.

– Twój dom jest tam, gdzie jest twoje serce – podsumował Zu Aspanu. Gdy zbierał się już do odejścia, Gingie przypomniała sobie, że coś dla niego przywiozła. Poprosiła, by zaczekał chwilę na tarasie, poszła do swojego pokoju i przeszukała walizki. Za kilka minut powróciła z podarunkiem.

Zu Aspanu zapewniał ją, że bardzo się cieszy, i upominał, że niepotrzebnie zawracała sobie głowę. Kiedy otworzył pudło i zajrzał do środka, na jego twarzy odmalował się prawdziwy zachwyt.

– Masło orzechowe!

– Zapytałam Vince’a, co mogłabym podarować jego rodzinie. Powiedział mi, że w Ameryce ubóstwiał pan masło orzechowe, i że trudno je zdobyć we Włoszech.

– Tylko popatrz! – Zu Aspanu odkręcił jeden z czterech okazałych słoików i podetknął pod nos stojącego obok Roe. – Skippy Extra Crunchy! Moje ulubione! To jest strzał w dziesiątkę!

– Czyżbyś przez żołądek chciała trafić do serca mojego wuja? – zapytał Roe z uśmiechem.

– Całe moje serce należy już do pani. – Zu Aspanu rozpląwał się w podziękowaniach. – *Molte grazie, signorina.*

Zaniósł swój cenny skarb do bryczki, zasiadł na koźle i ściągając lejce dał osiołkowi znak, że na nich już czas. Wkrótce zniknęli za zakrętem drogi.

– Lubię twojego wuja – powiedziała Gingie.

– A on polubił ciebie – odrzekł Roe dość niechętnie. Weszli razem do domu. Gingie zauważyła, że poza jej sypialnią, trzy pozostałe wyglądają, jakby nie miały lokatorów.

– Gdzie jest twój pokój? – zapytała Roe.

– Oddałem tobie – odpowiedział obojętnie. – Ma najlepszy widok z okna. Kiedyś mieszkała w nim moja matka. – Pociągnął ją za sobą na balkon i wskazał niedużą chatkę nieopodal domu, położoną tuż nad urwiskiem. – Sypiam w domku dla gości.

– Ależ Roe, to nie ma sensu! Nie musiałeś wyprowadzać się ze swojego wspaniałego domu tylko dlatego, że ja się tu zjawiłam. Przecież jest tu tak wiele pokoi. – Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: – Obiecałam, że nie będę powodem żadnych kłopotów...

– To nie to, Gingie – pokręcił głową Roe. – Mówiłem ci już, że mieszkańcy Sontary są tradycjonalistami. Bardzo by im się nie podobało, gdybyśmy mieszkali w jednym domu. Myślę, że ledwie zniosą to, że zamieszkam w chatce przy domu. Na szczęście mam tu dobrą opinię.

Gingie była zdumiona.

– Mamy przecież dwudziesty wiek!

– Sontara trochę nie nadąża za ostatnimi światowymi modami – odparł Roe cierpko.

Gingie już otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, lecz nagle się rozmyśliła. Roe był tu u siebie i widocznie wiedział najlepiej, co wypada, a co nie.

– Muszę już iść. Poradzisz sobie sama? – zapytał.

– Dokąd się wybierasz?

- Z powrotem do miasteczka.
- Ależ to godzina drogi stąd! – protestowała Gingie.
- Piętnaście minut rowerem – odpowiedział. – Domem będzie się zajmował Gaspare, wnuk Zu Aspanu. Muszę znaleźć kogoś, kto będzie codziennie gotował i sprzątał podczas twojej obecności na wyspie. Kiedy jestem sam, zwykle porządki robi się tu raz w tygodniu.
- Ależ Roe, nie chciałabym... – zaczęła Gingie.
- Do zobaczenia później – przeciął dyskusję Roe.

Dziewczyna, którą Roe zatrudnił do gotowania i sprzątanania, miała na imię Maria i była najmłodszą córką signora Sellerio. Znała tylko kilka angielskich słów i mimo dużej urody była tak nieśmiała, że czerwieniła się jak burak za każdym razem, gdy Gingie próbowała do niej zagadać.

Siedemnastoletni kuzyn Roe, Gaspare, miał zajmować się domem i ogrodem. Okazał się chłopakiem bardzo nowoczesnym, a na dodatek wielbicielem rocka i Gingie. Uwielbiał wszystko, co amerykańskie, i zaraz na wstępie wyznał dziewczynie swoim kolokwialnym angielskim, że uważa Roe za wariata. Nie rozumiał, jak można uciekać od tak wspaniałego życia, jakie zaofiarował mu los.

Podczas pierwszych trzech dni na wyspie Gingie rozpakowywała swoje bagaże i oswajała się z nowym otoczeniem. Dużo czytała, zaczęła komponować nową piosenkę i zwiedzała najbliższe okolice.

Trzeciego dnia po południu poczuła się tak wypoczęta i zrelaksowana, że jej prawdziwa natura zaczęła się domagać jakiejś aktywności. Zerknęła leniwie na zegarek i uświadomiła sobie, że już dwie godziny wypoczywa w cieniu na tarasie.

Odkąd przybyli na Sontarę, jej gospodarz starał się, by ich drogi nie przecinały się za często. Rozmawiał z Gingie tylko wówczas, gdy było to konieczne, a podczas wspólnych posiłków zachowywał się uprzejmie, lecz z rezerwą.

Chociaż znała go słabo, miała wrażenie, że pogrążony jest w depresji. Jego barczysta, wyprostowana sylwetka na to nie wskazywała, ale Gingie dostrzegła smutek w wyrazie oczu Roe i grymasie jego ust.

W ciągu dnia często drzemał na zalanym słońcem piasku plaży. Wyglądał wtedy jak starożytny heros zażywający słonecznej kąpieli. Jego muskularne, opalone na złoto ciało kryło w sobie jakąś uśpioną zmysłowość. Kiedyś Gingie zauważyła, że coś gwałtownie wyrывa go z drzemki, jakby śniły mu się koszmary.

Wydawało jej się także, że Roe w ogóle nie sypia nocą. Zmęczenie ostatnimi koncertami i podróżą raz czy drugi obudziło Gingie w środku nocy. Za każdym

razem widziała Roe włączającego się po plaży w świetle księżyca lub stojącego na tarasie i wpatrującego się w morski horyzont.

Natomiast ostatniej nocy Roe spoglądał w okno jej sypialni. Kiedy Gingie ukazała się na balkonie w cieniutkiej podomce o wyglądzie pajęczyny, sparaliżowało ich oboje dziwne, elektryzujące napięcie. Oboje milczeli wstrzymując oddech. Gingie nie była w stanie dostrzec w ciemności oczu Roe, a jedynie zarys sylwetki, sztywno wyprostowanej w reakcji na jej niespodziewane pojawienie się. Widziała też jaśniejącą w poświacie księżyca plamę jego twarzy.

Przerywając to niezwykle, milczące spotkanie, Gingie cofnęła się w zacisze własnej sypialni i spędziła w łóżku bezsenłą godzinę. Czy Roe czuł się samotny? Czy chciał porozmawiać? Może szukał towarzystwa? Miała ochotę wyjść do niego i dzielić z nim tę noc, ale bała się, że oczekuje od niej czegoś, czego nie mogła mu dać.

Poza bezsennością, doskwierał Roe także brak apetytu. Każdego ranka Maria przychodziła, by posprzątać i pozostawiała tak długo, dopóki nie upewniła się, że wszystkim smakował obiad, który ugotowała. Za każdym razem Roe przysięgał, że danie było przepyszne, ale jadł bardzo niewiele i tak samo niechętnie, jak podczas pierwszej wspólnej kolacji w Trapani. Sytuację ratowała Gingie, która zawsze pochłaniała wszystko, dzięki czemu Maria opuszczała dom we względnie dobrym humorze.

Sącząc świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, Gingie zastanawiała się, w jaki sposób może dopomóc Roe. Być może to, że tak starannie jej unikał, oznaczało prośbę o zostawienie go w spokoju. Lecz z drugiej strony za niespodziewanym spotkaniem ostatniej nocy kryło się coś wręcz przeciwnego.

Moglibyśmy pomóc sobie nawzajem, pomyślała Gingie. Po trzech dniach pustelniczej samotności, ona także zaczynała mieć dość. Przechyliła się przez barierkę tarasu i odnalazła wzrokiem Roe, wyciągniętego na piasku na odległym kawałku plaży. Poczowała lekki dreszczyk emocji, myśląc o próbie nawiązania z nim kontaktu.

Zdecydowanym ruchem podniosła z posadzki swój kapelusz i ruszyła ku wąskiemu, kamiennym schodkom.

Roe przez sen wyczuł instynktownie czyjąś obecność. Po latach sypiania w buszu miał już we krwi bezustanną czujność. Nie otwierając oczu i nie zmieniając wyrównanego rytmu oddechu, siódmym zmysłem bez trudu zlokalizował intruza. Błyskawicznie wyciągnął rękę i uchwycił czyjś kruchy, delikatny nadgarstek.

Zdumiony otworzył oczy i zamrugał, oślepiiony jaskrawym popołudniowym słońcem.

– Co ty robisz? – Najprzytomniej jak umiał, zadał to pytanie zaskoczonej Gingie.

– Zdaje się, że cię właśnie obudziłam – odpowiedziała. – Roe, proszę, postaraj się nie zmiążyć mi ręki.

– Przepraszam. – Zrobiło mu się głupio. Rozluźnił uchwyt i próbował rozmasować obolałą rękę Gingie. Dziewczyna miała na sobie przedziwny, mały kostiumik, który wyglądał jak spory bukiet pozszywanych ze sobą liści. Jej twarz osłaniał przed słońcem potężny słomkowy kapelusz. Wyglądała niezwykle powabnie.

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić – powiedziała Gingie.

– Słucham? – zapytał zdumiony. Gingie westchnęła.

– Jestem na wakacjach po raz pierwszy w życiu. Próbowałam już wszystkiego po kolei. Czytałam, leżałam trochę w cieniu, jadłam, drzemałam...

Roe wiedział, że przywiozła ze sobą trochę lektur. Zdziwiły go też tytuły książek, które czytała: „U zarania telewizji – Popularny wizerunek depresji seksualnej” oraz „Starożytna Anatolia. Najwcześniejsze ślady aktywności człowieka”. Mimo że nie ulegał stereotypowym opiniom na temat światopoglądu rockowych gwiazd, to jednak nie przypuszczał, że akurat coś takiego naprawdę ją interesuje.

– Czym jeszcze można się zająć na wakacjach? – zapytała.

– To naprawdę twój pierwszy raz? – Był trochę podejrzliwy. Wydawało mu się, że jednak trochę przesadza.

– Pierwszy od czasów dzieciństwa. Ale wtedy wszystko wyglądało inaczej – odparła.

Niepewne a zarazem kuszące brzmienie jej głosu sprawiało, że Roe nie potrafił jej zignorować.

– Może miałabyś ochotę obejrzeć całą wieś? – zaproponował. – Moglibyśmy nawet zjeść tam kolację.

– Och, Roe, naprawdę? – zapytała tonem rozentuzjasmowanego dziecka. Wyglądało na to, że nie panuje nad swoją spontanicznością. Skąd, u diabła, Vince wytrzasnął kogoś takiego?

Słumił śmiech i szybkim ruchem poderwał się z piasku. Dopomógł wstać Gingie i podprowadził ją do schodów pnących się w górę skalnego urwiska.

– Idź pierwsza i uważaj na stopnie.

Za chwilę pożałował, że przepuścił ją przodem. Zahipnotyzowała go giętkość jej łydek i ud, kuszące kołysanie bioder i rytmiczny ruch ramion opierających się na drewnianej poręczy balustrady. Nagle Gingie zatrzymała się w pół kroku.

– Popatrz tylko! – zawołała wskazując na morze. Podążył śladem jej spojrzenia i zauważył kołyszącą się wdzięcznie na falach piękną żaglową łódź. – Czy nie jest wspaniała?

Gingie odwróciła się ku niemu, wspinając się o stopień wyżej. Znowu niepokojące napięcie przeszło ich oboje. Szeroka pierś Roe niemal dotykała nagiego ramienia dziewczyny, ich twarze dzieliła odległość zaledwie kilku centymetrów, a ich uda prawie ocierały się o siebie.

– Tak – przyznał Roe. – Rzeczywiście, wspaniała... Gingie przełknęła ślinę i wciąż patrzyła na Roe, lecz jej uśmiech powoli zanikał. Lekko pobladła, a jej usta, chociaż bez pomadki, pozostawały intensywnie czerwone. Wiatr delikatnie mierzwił jasne, jedwabiste włosy. Spuściła wzrok, ukrywając zażenowanie i pochyliła głowę.

Roe poczuł nagły przyływ pożądania i obudziły się w nim różne pragnienia. Pragnienie delikatności, przekornie kłócące się z jego szorstkością, i pragnienie czułości wywołane bezbronnością Gingie, a może też tym, że bardzo nie chciał już nikogo ranić. Wyciągnął dłoń i leciutko uniósł ku górze jej podbródek.

Pochylił się ku niej bardzo powoli, jakby sam siebie powstrzymywał przed czymś, czego jednocześnie tak bardzo chciał. Jego usta dotknęły drżącego ciepła warg Gingie. Zamknął oczy i jeszcze przez moment walczył z przemożną pokusą zatonięcia w niewiarygodnej słodyczy, jaką obiecywały jej rozchylone wargi.

Nagle poczuł na ramieniu gwałtownie odpychającą go rękę. Jej palce z dużą siłą wbijały się w jego barki. Niezupełnie wiedział, co się stało. Błyski w oku Gingie i jej rumieńce nie były dla Roe obcym widokiem. Jednak cały ten staroświecki gest protestu ujawnił nowy i nieznany rys jej charakteru.

Spojrzał na nią pytająco. Nie wyglądała na przestraszoną czy oburzoną. Przeciwnie, jej oddech był przyspieszony i sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała mu ulec. Lecz jej dłoń wciąż uparcie i stanowczo odpychała ramię Roe.

– Ja nie... – zaczęła. Oblizwała wargi, przymykając oczy, jakby wyobrażała sobie smak pocałunku, który nie nastąpił. Roe wolałby, żeby tego nie robiła. – Ja nigdy nie... – Przesunęła dłoń wzdłuż jego ramienia, a potem nagle ją cofnęła. – Ja po prostu nie.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała schodami w górę, a Roe stał w miejscu jak zamurowany i spoglądał zdumiony w ślad za nią. Co „nie”?,

zastanawiał się przez długą chwilę.

Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli powróci na plażę i pograży się znowu w swojej chandrze. Ale w tym samym momencie usłyszał alarmujący dzwonek telefonu. Dzięki Bogu, pomyślał. Od przyjazdu Gingie telefon się nie odzywał, co czyniło ich *tete a tete* jeszcze trudniejszym do zniesienia.

Miał nadzieję, że dzwoni Vince, który jutro miał być poddany operacji. Wspinając się po schodach ku tarasowi, Roe obmyślał swoją rozmowę z bratem. Umowa była umową. Tymczasem Gingie, przebywając tu zaledwie parę dni, zdążyła zburzyć nie tylko jego błogą samotność, ale także wszelki spokój jego duszy. I nie zanosilo się na to, że sprawy przyjmą lepszy obrót.

Kiedy jednak dotarł do telefonu, dziewczyna właśnie kończyła rozmowę. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na niego pogodnie.

– Dzwonił Milo – oświadczyła. – Są już tutaj, na wyspie, razem z Sandym. Pytali, czy nie moglibyśmy po nich przyjechać.

Rozdział 4

– Nie zapraszałam ich – tłumaczyła się Gingie. Oboje z Roe podskakiwali na wybojach w zaprzężonym w osła pojeździe Zu Aspanu.

– Skąd się tu wzięli w takim razie? – domagał się wyjaśnień Roe.

– Nie wiem. Może to po prostu przypadek. A może Vince ich tutaj skierował i nie zdążył cię o tym uprzedzić. W końcu dopiero dziś zaczęły działać telefony.

Roe chrząknął znacząco, co oznaczało, że dyskusję uważa za zamkniętą. Gingie odetchnęła z ulgą. Nie czuła się zbyt pewnie i myśl o tym, że Milo i Sandy będą towarzyszyć jej na wyspie, była krzepiąca.

Wciąż była pod wrażeniem gorącego, delikatnego dotyku warg Roe, bliskości jego ciała i nieskrywanego pragnienia w jego spojrzeniu, zwykle chłodnym i opanowanym. Zadrżała na samo wspomnienie.

– Nie jest ci zimno? – zapytał Roe. W jego głosie brzmiała irytacja. Gdy Gingie pokręciła przecząco głową, dorzucił: – Dlaczego się nie przebrałaś?

Gingie nadal miała na sobie mikroskopijny zielony kostiumik.

– Wcale nie marznę – bąknęła.

– Nie powinnaś ubierać się w ten sposób, kiedy wybierasz się między ludźmi. Mogłaś jakoś osłonić ramiona i nogi.

– Uwielbiasz krytykować, prawda? – zapytała surowo. Po raz pierwszy od przybycia na Sontarę – pozwoliła sobie na tak impertynencki ton. Dlaczego ludzie zawsze starali się ją zmienić? Jej riposta zrobiła na Roe wrażenie.

– Przepraszam – powiedział po chwili milczenia. Gingie obserwowała jego profil. Chyba rzeczywiście zrobiło mu się przykro, że ją strofował bez powodu. Położyła rękę na jego dłoni w pojednawczym geście.

– To ja przepraszam za moich przyjaciół. Roe spojrzał na jej dłoń.

– Gingie... – urwał nagle. Ich spojrzenia się spotkały. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jego twarzy jest coś pięknego i zarazem egzotycznego. Jakaś męska surowość, podkreślona blizną wzdłuż policzka, dramatycznym śladem po zapamiętającym ataku Lisy. Ramiona Roe były silne i szerokie. Na tyle silne, by ją obronić, na tyle szerokie, by mogła schronić się w ich uścisku przed całym światem... Gdzieś głęboko w jej wnętrzu budziły się zupełnie nieznanne impulsy, tak silne, że kazały zapominać o całym świecie.

Czuła, że to szaleństwo, ale nie mogła powstrzymać się od tego gestu. Delikatnie wodziła kciukiem wzdłuż jego ramienia, aż po krótki rękaw bawełnianej

koszulki. Wyczuwała pod skórą napięcie jego mięśni i drżącą w nich moc. Miał w sobie jakąś ogromną siłę, przy której jej własna energia topniała jak wosk.

– Gingie, proszę cię... – Coś ostrzegawczego zabrzmiało w jego głosie. Lekko przymknął oczy i zdawał się z trudem wytrzymać elektryzujący dotyk jej dłoni, która jak zaczarowana wędrowała po jego napiętych mięśniach. – Co ty robisz? – Te słowa zabrzmiały dziwnie słabo i niepewnie.

Ściągnął mocno lewą ręką, a drugą powstrzymał dłoń Gingie. Ten ruch był stanowczy i prawie brutalny. Gingie dostrzegła, że mimo groźnej miny. Roe jednak stara się być delikatny. Podziało to na nią w sposób odwrotny do oczekiwanego. Czowała się zupełnie rozbrojona.

– Chciałabym... – urwała w pół zdania. W głowie miała pustkę i bezwiednie wpatrywała się w kuszący rysunek jego ust. – Chciałabym...

Pojazd przechylił się gwałtownie na wybojach. Gingie oparła się o Roe i przytrzymała jego ramienia, by nie stracić równowagi. Jej piersi i uda przywarły na moment do niego, twarz znalazła się tuż przy jego twarzy, a oddech Roe łaskotał jej ucho. Nagle zrozumiała, czego tak naprawdę pragnie, i w tej samej chwili przeraziła się. Odsunęła się od Roe jak oparzona.

Wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

– Pospieszmy się. Są pewnie bardzo zmęczeni po podróży – oświadczyła.

Bez słowa popędził osiołka. Miał kamienny wyraz twarzy i całkowicie skupił się na powożeniu.

Gingie gapiła się bezmyślnie na czubki sandałów. Zaskoczyło ją jej własne zachowanie. Właściwie nigdy dotąd tak dalece nie straciła kontroli nad sobą. Zwłaszcza że Roe wcale nie wyszedł temu naprzeciw. To ona sama wkroczyła na tę śliską ścieżkę, sprowokowana jego bliskością, samą obecnością. Żadnemu mężczyźnie nie udało się dotąd wprowadzić jej w podobny stan.

Przypomniała sobie pewnego francuskiego gwiazdora filmowego, który przysyłał jej róże. Robił to codziennie przez całe trzy tygodnie, aż w jej hotelowym pokoju zabrakło miejsca na instrumenty. Przypomniała sobie pewnego gitarzystę. Miał zwyczaj przemawiać do niej słowami, których nie rozumiała, i których nawet nie mogła odnaleźć w słowniku. Obiecywał, że znajdą się oboje w raj, jeśli ona tylko na to pozwoli. Oczywiście nie pozwoliła, a wszystko to, co jej mówił, umieściła w kolejnej piosence. Piosenka była potem jej drugim w życiu wielkim przebojem. Przypomniała sobie także znanego angielskiego pisarza, który przysłał jej zaproszenie na kolację. Okazało się potem, że to o n a ma być dla niego głównym daniem uczyty i kolacja zakończyła się przedwcześnie. Żaden z tych

facetów jednak ani trochę nie przypominał Roe.

Wielu mężczyzn chciało zdobyć ją z próżności, ze względu na jej sławę. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat zaledwie parę razy ktoś zdołał zakłócić jej spokój. Milo i Sandy wszelkich intruzów skutecznie trzymali z daleka. Im bardziej stawała się sławna, tym mniej szans mieli wszyscy chętni na zdobycie jej łask. Zwłaszcza że wierna eskorta wciąż była blisko.

Tym bardziej zaskakujące i niespodziewane było wszystko to, co wydarzyło się pomiędzy nią a Roe. Na szczęście on okazał się dżentelmenem. Nie mogła jednak liczyć na to, że podobnie zachowa się następnym razem i musiała bardzo uważać na siebie. Gdyby Camilla, jej starsza siostra, wiedziała o wszystkim, na pewno przemówiłaby jej do rozsądku.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy wreszcie dotarli do portu. Nietrudno było odszukać obydwu przyjaciół Gingie. Milo z zapamiętaniem grał w karty z całą grupą wyspiarzy w samym centrum głównego placu, a Sandy rozdawał autografy licznie zgromadzonym kobietom i dziewczętom.

Roe nie mógł uwierzyć własnym oczom. Sontara była zawsze najspokojniejszym, najbardziej cichym miejscem pod słońcem. Ten idylliczny zakątek, który nawet jego matce dawał schronienie przed światem, zamieniony został oto w cyrk o trzech arenach. Musiał jakoś pozbyć się tych ludzi. Nie mógł tylko wyrzucić ich z domu, dopóki nie skontaktuje się z Vincem. A jego brat miał być jutro operowany. Potem co najmniej do końca tygodnia musiał odpoczywać i dochodzić do siebie. Wzdychając z rezygnacją. Roe pomógł dziewczynie wysiąść z pojazdu.

– Milo, Milo! – wykrzyknęła Gingie, pomknęła w stronę placu i rzuciła się w ramiona przyjaciela.

Roe wolno podążył za nią. Był zde gustowany. Jeszcze przed chwilą, w drodze do wioski, ta dziewczyna dotykała go w taki sposób, jakby już do niej należał. Patrzyła na niego z takim uczuciem, jakby tylko czekała na śmiały gest z jego strony. Potem zupełnie bez powodu zmieniła zdanie i odsunęła się na najdalszy brzeg bryczki, nie patrząc na niego ani nie dotykając go więcej. Jak miał się zachować? Czy miał udawać obojętność? Nikt nie byłby w stanie zapanować nad sobą lepiej niż on w obliczu takiego wyzwania, jakim bez wątpienia była Gingie.

A teraz rzucała się w ramiona jakiegoś faceta z taką pasją, jakby dopiero co uratował jej życie. Najwyraźniej kpiała sobie z Roe i w tej sytuacji może nawet lepiej, że zjawili się jej koleżkowie.

Na widok zbliżającego się Roe, Gingie oświadczyła:

- Milo, to jest brat Vince’a.
- Prospero Hunter? – zapytał Milo. Roe westchnął.
- Mów do mnie Roe.

– Milo Wake. – Długowłosego muzyk łąpnął z ramińców okularów i uściskał dłoń Roe z wyraźnym entuzjazmem. Miał jasnoniebieskie oczy, które spoglądały bystro i przyjacielsko. Sądząc po delikatnych zmarszczkach wokół oczu i lekko przereźniętych włosach, mógł mieć około czterdziestki. Miał na sobie wystrzępione dżinsy i koszulkę z psychodelicznymi wzorami, przykrytą częściowo obszernym czarnym płaszczem. Na jego piersi połyskiwał medalik. Podążając za spojrzeniem Roe, Milo wyjaśnił:

– To święty Józef z Cupertino, patron latających samolotami – mówiąc to lekko wzdrygnął się i dodał: – Bez tego nigdy nie ruszam się z domu.

– Nie lubisz latać? – odgadł Roe.

– Po prostu nienawidzi samolotów – wyjaśniła Gingie. – Kiedy ostatnio lecieliśmy z Tokio do San Francisco, Milo dostał histerii na lotnisku, a potem trzeba go było cucić na wysokości trzech tysięcy stóp nad ziemią. – Znowu przytuliła się do Milo. – To wspaniała niespodzianka, że tu jesteś!

– Szczerze mówiąc, dla mnie też jest to niespodzianką – westchnął Milo. – Całe cztery dni bez ciebie, Gingie... Przypomniałem sobie, jak wyglądało moje życie, zanim cię spotkałem. Błogi spokój, porządek... Przez ponad cztery doby nie wydarzyło się nic głupiego i niespodziewanego.

– Świetnie cię rozumiem – mruknął Roe.

Ich spojrzenia spotkały się porozumiewawczo i Roe poczuł, że mimo pewnej rezerwy zaczyna lubić tego artystę.

– Jeśli było ci tak dobrze – odezwała się Gingie zaczepnie – to co tutaj robisz?

– Miałem święty spokój do momentu, kiedy zjawił się kompletnie spanikowany Sandy. Był przerażony, że nie dzwoniłaś od czasu przyjazdu do Trapani. Uparł się, żebyś wydziała od Vince’a twój numer telefonu. Kiedy zorientował się, że łączność z wyspą jest przerwana, kompletnie się załamał i zaczął naciskać, żebyśmy cię odszukali. Jego impresario był wściekły, bo zaplanował dla Sandy’ego udział w programach telewizyjnych przez cały następny tydzień, ale chłopak nie chciał o tym słyszeć. No więc jesteśmy. Mam nadzieję, że znajdziesz dla nas jakiś wolny pokój, Roe.

– Oczywiście, od przybytku głowa nie boli – odpowiedział Roe, starając się przemawiać możliwie najbardziej naturalnym tonem.

– Sandy! – zawołała dziewczyna. Chłopak przedarł się przez grupę wielbicieli

i dołączył do nich. Jego powitanie z Gingie było znacznie mniej wylewne niż poprzednie uściski z Milo. Sandy po prostu przylgnął do jej boku jak posłuszny spanielek, ujął pokornie jej dłoń i stał tak z wyrazem błogiego spokoju na twarzy. Roe był zdumiony. Znał niektóre piosenki Sandy'ego i, o ile się orientował, wyśpiewywał on najbardziej prowokacyjne i wyzwolone seksualnie teksty w całej amerykańskiej muzyce pop. Tymczasem ich wykonawca u boku Gingie przypominał cichą myszkę.

Gingie przedstawiła Sandy'ego Roe. Chłopak uściśnął jego rękę i bąknął coś pod nosem, onieśmielony jak pensjonarka. Znany gwiazdor był niebieskooki, opalony i bardzo przystojny. Chociaż cała sytuacja nieco Roe irytowała, nie mógł nie dostrzec zabawnej strony wydarzenia. Jakieś pięćdziesiąt mieszkanek wsi przechadzało się właśnie niby to przypadkiem po placu i posyłało Sandy'emu powłóczyście spojrzenia.

– Jak miewa się mój brat? – zapytał Roe.

– Jest w dobrym nastroju – odpowiedział Milo natychmiast.

– Mieliśmy zamiar zjeść kolację gdzieś tutaj – włączyła się Gingie, zupełnie widać nie zainteresowana stanem zdrowia Vince'a. – Co wy na to?

– Jasne, z chęcią – odparł Milo. – Musimy tylko coś począć z bagażem.

– Tam idzie don Ciccio! – wykrzyknęła Gingie. – Załatwię to z nim.

Roe obserwował zaskoczony, jak Gingie wyzwała dłoń z uścisku Sandy'ego i podąża w kierunku don Ciecica, by go pozdrowić.

– Gingie ma zamiar zająć się bagażem? – zapytał Milo z niedowierzaniem. – To jakiś cud – spojrzał na Roe. – Wydorosłała podczas tych wakacji.

Roe wzruszył ramionami. Wiele widział w swoim życiu, ale jeszcze nigdy nie spotkał dwóch facetów, którzy w tak pełnej harmonii dzielili się względami jednej kobiety.

– Sandy – odezwał się Milo – mieliśmy ciężki dzień. Pójdziemy teraz do kafejki, bo chciałbym sobie strzelić drinka, dobra? – przemawiał do swojego towarzysza tonem wychowawcy. – Roe, idziesz z nami?

Roe zerknął w kierunku Gingie, która z dużym wdziękiem przełamywała barierę językową, pertraktując zawzięcie z don Ciecikiem. Kiwnął głową i wraz z dwójką przybyszów zaczął przeciskać się przez tłumek w stronę kawiarenki.

Gdy zasiedli, Roe zamówił colę dla siebie i szklanekę soku pomarańczowego dla Gingie. Milo zażądał whisky. Podczas oczekiwania na dziewczynę Sandy w ogóle się nie odzywał, a Milo z dużym dramatyзмом opisywał kolejne etapy ich podróży.

– Wszystko załatwione – oświadczyła Gingie triumfalnie, przyłączając się do trójki mężczyzn.

– Zdziwiasz mnie, Gingie – powiedział z uznaniem Milo i brzmiało to szczerze.

– Jestem głodna – odrzekła dziewczyna.

– Jakże by mogło być inaczej.

– Czy moglibyśmy coś zjeść w tej małej knajpce?

– Gingie wskazała gospodę po przeciwnej stronie placu.

– Nie radziłbym – powiedział Roe.

– Dlaczego? Mają kiepskie jedzenie? – dopytywała się Gingie.

– Jedzenie mają tam wyśmienite – zapewnił Roe.

– Ale na Sontarze są tylko dwie gospody i nie należy żadnej z nich faworyzować. Ponieważ tam jadłem już pierwszego wieczoru po przybyciu na wyspę, wypadałoby dzisiaj odwiedzić drugie miejsce, u signory Gambarossy.

– Ach, te wiejskie konwenanse – mruknął Milo. – Gdzie jest druga gospoda?

Roe wskazał ręką kierunek ponad ramieniem Milo.

– Trzeba iść tędy. Położona jest jakieś pięćdziesiąt metrów za *Santa Cecilia*.

– Za czym? – spytała Gingie.

– Za katedrą – wyjaśnił Roe.

– Pod wezwaniem świętej Cecylii? – zakrzyknął entuzjastycznie Milo. – Musimy tam zajrzeć!

– Nie wiedziałam, że tak bardzo interesuje cię architektura, drogi Milo – zdziwiła się Gingie.

– Nie rozumiesz? Nie wiesz, kim jest święta Cecylia dla takich jak my? Ignorantka.

Gingie bezradnie wzruszyła ramionami, a Roe wyjaśnił:

– Święta Cecylia to patronka muzyków.

– Naprawdę? – Gingie była zaintrygowana. – Chodźmy tam szybko.

Dokończyli swoje napoje, a Milo bez żenady pozwolił, by rachunek zapłaciła Gingie.

– Jest bogatsza niż my wszyscy – rzeczowo zwrócił się do Roe. – A w dodatku nie zawsze pamięta, że nawet na tym najlepszym ze światów za wszystko trzeba płacić.

Gingie zagadkowo spoglądała znad stolika, póki Sandy nie trącił jej łokciem.

– Sandy, czy mógłbyś pójść przodem? Chciałabym przez chwilę porozmawiać z Roe – poprosiła.

Sandy posłusznie dogonił odchodzącego Milo. Gingie podniosła się z krzesła i wolniutko ruszyła wzdłuż placu w towarzystwie Roe, nie zwracając zupełnie uwagi na spojrzenia wyspiarzy, odprowadzające jej liściasto odzianą postać.

– Czy coś się stało? – zapytał ostrożnie Roe, widząc jej skupiony wyraz twarzy.

– No cóż, Roe. Spędziliśmy noc w hotelu, jedliśmy kolację w restauracji, płynęliśmy promem i korzystaliśmy z wynajętego samochodu. Wynająłeś gospoście i wydałeś masę pieniędzy na jedzenie. Wszystko razem kosztowało cię prawdopodobnie fortunę, a ja nie oddałam ci dotąd ani centa.

Roe wzruszył ramionami, – Miałem zamiar rozliczyć się jakoś z Vince’em.

– Nie ma mowy. Chcę rozliczyć się sama. Przyjechałam tu między innymi po to.

– Po co?

– Żeby wydostać się spod kontroli innych ludzi. Roe zerknął na nią z powątpiewaniem.

– Chcesz sama sterować swoimi finansami? Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, chyba nie. Nie jestem raczej zbyt... zbyt praktyczna. – Powiedziała to takim tonem, jakby wyjawiała mu wielki sekret. – Mam wrażenie, że się ze mnie naśmiewasz – dodała podejrzliwie.

– Cóż, jakoś już zdążyłem zauważyć, że nie należysz do realistik.

– Możemy się umówić co do konkretów. Co kilka dni powiesz mi, ile jestem winna, a ja zapłacę.

– Bardzo jesteś ufna, Gingie.

– Vince powiedział, że mogę całkowicie ci zaufać – odparła rzeczowo.

Roe leciutko się uśmiechnął. Była tak szczera i pełna wdzięku, że nie można było długo się na nią boczyć.

– Załatwione. Jutro wszystko podliczę i dam ci znać, dobrze?

– Dla mnie będzie to duży krok do przodu – zapewniła.

Ruszyli spacerkiem w ślad za Sandym i Milo.

– Miałam wielkie szczęście, że wiele lat temu spotkałam Vince’a – mówiła dalej Gingie. – Mam też wspaniałą rodzinę i fantastycznych przyjaciół. Gdyby nie oni wszyscy, nie mogłabym tak całkowicie poświęcić się karierze. Ale teraz... Widzisz, Roe, ja się starzeję. Mam już trzydzieści lat. Jestem już zmęczona tym ciągłym niańczeniem mnie przez wszystkich, mówieniem mi, co mam robić, podejmowaniem za mnie decyzji i traktowaniem mnie jak dzieciaka. Vince mówi czasem, że jestem genialna, ale traktuje mnie, jakbym była niezgułą. Czasem czuję się, jakbym się dusiła. A kiedy zaczyna mi brakować powietrza, nie umiem

komponować. Praca zawsze stanowiła sens mojego życia, a teraz nagle moje życie staje się jałowe i bezsensowne, i taka sama będzie z czasem moja twórczość. – Wyglądała na mocno przygnębioną. – Czy to, co mówię, ma jakiś sens? Roe się zamyślił – Sam nie wiem, Gingie. Znałem wielu ludzi parających się wszelką twórczością, niejednego wpędziło to w obłąd i ja sam starałem się raczej trzymać z dala od tych spraw. Ale... Wydaje mi się, że rozumiem twoją potrzebę wolności...

– Hej, wy oboje! Idziecie wreszcie? – Zza zakrętu uliczki dobiegł donośny okrzyk Milo. Gingie odpowiedziała na jego wezwanie i po chwili dołączyli do reszty towarzystwa. Przed nimi wznosiła się zniszczona fasada małej katedry.

– Kościół zbudowano w dwunastym wieku – wyjaśnił Roe, gdy przekraczali próg sanktuarium. – Większość budowli była restaurowana w wieku siedemnastym, ale część mozaiki na ścianach zachowała się w oryginalnym stanie. Zaczekaj, Gingie – powstrzymał dziewczynę tuż przed prowadzącymi do głównej nawy sfatygowanymi drewnianymi drzwiami. – Milo, pożycz jej swój płaszcz. We Włoszech kobiety nie wchodzi do kościoła z odkrytymi ramionami.

Gingie spojrzała na niego w osłupieniu.

– Chcesz powiedzieć, że kobiece ramiona są tu czymś nieprzyzwoitym? Camilla wpadłaby w furję.

– Kim jest Camilla? – spytał Roe otulając płaszczem blade, szczupłe ramiona Gingie.

– To jej starsza siostra – objaśnił Milo. – Była przez jakiś czas moją dziewczyną.

– W ten sposób właściwie poznałam Milo – dorzuciła Gingie.

– Camilla należy do gatunku radykalnych socjalistek i zawziętych feministek. Jako działaczka jest raczej nieprzejednana – stwierdził Milo.

– Domyślam się, że to wam trochę utrudniało porozumienie? – spytał Roe z odrobiną ironii.

– W łóżku było nam wspaniale – przyznał Milo.

– Ale cała reszta zupełnie nam nie wychodziła.

– Przestań, Milo – strofowała go Gingie. – Pamiętaj, że mówisz o mojej siostrze.

Dosyć oszołomiony tymi wyznaniem, Roe wprowadził towarzystwo do kościółka. W środku obecnych było kilku wiernych. Ksiądz pozdrowił Roe skinieniem głowy i wszedł do konfesjonału, zamykając za sobą okratowane drzwiczki.

– Wszystko tutaj niszczeje – stwierdził Milo ze smutkiem.

Popękane ściany, zanikające freski i zmurszałe drewno świadczyły o tym, że najlepsze dni *Santa Cecilia* dawno już przeminęły.

– Dlaczego to miejsce jest w takim strasznym stanie?

– westchnęła Gingie.

– Z braku pieniędzy – Roe wzruszył ramionami.

– Czy nie zbierają nic na tacę w każdą niedzielę?

– zapytała.

– To nie jest zbyt bogata wyspa, Gingie.

– Więc ten zabytek obraca się po prostu w ruinę – stwierdziła dziewczyna ponuro.

– Jak wiele innych w całych Włoszech – podsumował Roe.

Uwagę Sandy’ego i Milo przyciągnęły miejscowe organy. Roe poprowadził Gingie ku północnej ścianie katedry, gdzie widniało spłowiałe malowidło.

– Czy ten fresk przedstawia świętą Cecylię? – zapytała.

– To jej wizerunek tuż przed straceniem. Przyjrzała się scenie i cofnęła po chwili, ogarnawszy wzrokiem całość.

– To strasznie okrutne!

– Żywot świętej Cecylii nie należał raczej do szczęśliwych – powiedział Roe. – Wszystko działo się w trzecim wieku naszej ery w Rzymie. Cecylia była młodą patrycjuszką, a zarazem chrześcijanką. Przeznaczono ją na żonę poganinowi o imieniu Walerian. Jak głosi legenda, Cecylia poświęciła wcześniej swoje dziewictwo Bogu i odmówiła współżycia z mężem. Ale on przyjął to za dobrą monetę i nawrócił się na chrześcijaństwo.

– A jednak nie żyli potem długo i szczęśliwie?

– Niestety nie. Święci mają to do siebie, Gingie, że rzadko żyją długo i szczęśliwie. Walerian został uwięziony i stracony, zresztą razem z bratem Cecylii. Tuż po ich pogrzebie także Cecylia straciła wolność. Została skazana na śmierć przez uduszenie, a kiedy to zawiodło, nakazano ściąć jej głowę.

– Mam nadzieję, że była to szybka śmierć – powiedziała Gingie.

– Nieszczęśliwym trafem tak się nie stało. Myślę, że nie istnieje śmierć bezbolesna, ale ta, która przypadła w udziale Cecylii, była szczególnie straszliwa. Uderzenie kata nie zdołało całkowicie pozbawić jej głowy, więc w potwornych męczarniach konała całe trzy dni.

– To koszmarnie!

– Jej grób odnaleziono i otwarto pod koniec szesnastego wieku. Ciało było podobno całkiem dobrze zachowane, lecz skutek kontaktu z powietrzem szybko

się rozpadło.

– To bardzo przygnębiająca opowieść. Roe.

– Jak wszystkie żywoty świętych – przyznał. Obejrzał jeszcze raz wytarty, zniszczony fresk. Pomimo upływu czasu, który nie oszczędził malowidła, można było dostrzec przerażenie w całej postaci Cecylii i okrucieństwo w geście wymierzającego cios kata.

– Człowiek to jedyna istota na tym świecie zdolna umrzeć dla idei – westchnął Roe refleksyjnie.

Gingie ujęła go pod ramię.

– Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam – powiedziała i znów przyjrzała się freskowi. – Umarła bardzo młodo, prawda?

– Prawdopodobnie tak – przytaknął Roe. – Powinnaś jednak wiedzieć, że legenda powstała dwieście lat po rzekomej śmierci Cecylii. Nie wiadomo, czy to się wydarzyło naprawdę.

– Może to, co wydarzyło się naprawdę, było jeszcze gorsze – powiedziała Gingie w zadumie.

– Może – przyznał Roe.

Podczas kolacji Roe został zasypany pytaniami na temat wioski, całej wyspy i jej mieszkańców. Gingie chciała wiedzieć, czy wyspiarzy nie martwi, że katedra jest w tak kiepskim stanie, ile mógłby kosztować ewentualny remont oraz jak długo mógłby trwać. Roe dawał możliwie precyzyjne odpowiedzi, zastrzegając się, że nie jest w tych sprawach ekspertem.

Po skończonym posiłku, Gingie przejęta nową rolą uparła się, że zapłaci rachunek. Spoglądając na Roe, zapytała w pewnej chwili, kiedy wrócą do domu.

Roe patrząc w jej błękitne oczy obramowane gęstymi rzęsami, czuł, że przeszywa go jakiś ból. Świadomość, że musi się nią dzielić z innymi, stała się nagle trudna do zniesienia.

Jak na ironię, Sandy znów przylgnął do dziewczyny i wyprowadził ją z gospody, po czym już jej nie odstępował, niczym wierny piesek.

Roe z poczuciem rezygnacji i bezsilności powłókł się w ślad za nimi. Był już bardzo późny wieczór.

Rozdział 5

Z powodu panujących ciemności Roe postanowił wybrać nieco dłuższą drogę niż nadbrzeżny skrót, którym dotarli do domu wraz z Gingie po jej przyjeździe na wyspę. Kiedy mijali w milczeniu wiejskie zabudowania, ciche i uśpione o tak późnej porze, niespodziewanie odezwał się Sandy. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od mniej więcej trzech godzin.

– Czym się zajmujesz. Roe? – zapytał.

– Pracuję dla agencji organizującej podróże.

– Jesteś komiwojażerem? – spytała Gingie, zaskoczona.

– Nie. Prowadzę turystyczne wyprawy, które organizuje moja firma. Zabieram nieduże, dziesięcio- lub dwudziestoosobowe grupy na wędrówki po Afryce. Ma to charakter safari, dłuższej wyprawy przez dzikie okolice z wozami zaprzężonymi w woły i tragarzami.

– Afryka jest ogromna – odezwał się Milo. – Które konkretnie rejony zwiedzacie?

– Robię to od czternastu lat, więc zdołałem już właściwie przewędrować cały kontynent.

– Musiałeś młodo zacząć – powiedziała Gingie. – Jak trafiłeś do tego fachu? W końcu nie ma on wiele wspólnego z Hollywood.

– I to jest jego główną zaletą – spuentował cierpko Roe. – Zacząłem, kiedy miałem dwadzieścia lat. Wziąłem udział w pieszej wyprawie do Rwandy. Podglądaliśmy goryle w ich naturalnym środowisku.

– Nie musiałeś w tym celu wyprawiać się tak daleko. Roe – powiedział Milo. – Trzeba było po prostu zajrzeć do któregoś z rockowych klubików, w których grywamy razem z Gingie. – – Jak długo trwała twoja pierwsza włóczega? – zapytała Gingie, ignorując żarciki przyjaciela.

– Cztery tygodnie. Było fantastycznie. Kiedy wróciliśmy do Nairobi, zaproponowałem organizatorom, żeby zatrudnili mnie w charakterze obozowego przy kolejnej wyprawie w te okolice.

– Obozowy? Na czym to polegało? – dopytywała się Gingie.

– Na ciężkiej harówce. Odpowiadałem za zaopatrzenie grupy w wodę i jedzenie podczas drogi. Organizowałem rozbijanie obozowiska pod koniec dnia i zwijanie całego kramu rankiem.

– Zupełnie jak menażer rockowej kapeli – zauważył Milo. – Jak długo pełniłeś

tę zaszczytną funkcję?

– Około roku. Potem wziąłem krótki urlop szkoleniowy. Nauczyłem się prowadzić i reperować pojazdy terenowe, udzielać pierwszej pomocy i opanowałem podstawy suahili. Wtedy mianowali mnie współprzewodnikiem wyprawy, a po paru latach awansowałem na głównego przewodnika grup.

– Ale nie tylko na terenie Rwandy?

– Nie tylko. Po roku poznałem Kenię, Tanzanię, Mozambik, Botswanę i Zimbabwe. Wyruszałem też na rajdy z Nairobi do Johannesburga, które zwykle trwały od piętnastu do dwudziestu tygodni.

– Dwadzieścia tygodni w buszu? – wzdrygnął się Milo.

– Nie, nie całkiem. Po drodze odwiedzaliśmy miasteczka i wioski. Mniej więcej raz w tygodniu spaliśmy pod dachem.

– Nie spędzasz jednak całego życia w drodze?

– zapytała Gingie.

– Nie. Miewam przerwy na odpoczynek. Czasami zatrzymuję się na dłużej w miastach.

– Co tam porabiasz?

– To zależy – Roe przytrzymał mocniej cugle, bo osiołek potknął się na nierównościach. – W Marakeszu pracowałem przez kilka miesięcy w biurze, by pomóc nowemu dyrektorowi zorientować się w całym interesie. Kiedy zachorowałem na malarię po raz pierwszy, firma nie od razu chciała mnie wysłać w trasę, więc uczyłem się w Nairobi nowych wariantów dla naszych ekspedycji. Z kolei w Kairze skierowali mnie do pracy w biurze na okres rekonwalescencji po wypadku...

– Miałeś wypadek? – przerwała Gingie z troską w głosie. – Co się stało?

– To dosyć krepująca opowieść... – próbował wykręcić się Roe.

– Uwielbiam takie opowieści – zachęcał Milo.

– Opowiadaj.

– No cóż... Przebywaliśmy w całkiem cywilizowanej okolicy delty Okawango – zaczął Roe.

– Do jakiego stopnia cywilizowanej? – dociekał Milo.

– Był tam wychodek.

– O rany, czy nie ma już na tym świecie miejsc zupełnie dzikich? – ubolewał Milo.

– I dość pochopnie postanowiłem odwiedzić ten przybytek w środku nocy.

– Pochopnie? – powtórzyła Gingie. – Ale przecież wielu ludzi... No wiesz...

– W sercu buszu należy raczej się powstrzymać – zapewnił Roe.

– Wyobrażasz sobie, jakie zgraje lwów, tygrysów i niedźwiedzi czyhają na zewnątrz? – dorzucił Milo.

– Och, Milo, przestań – ofuknęła go Gingie.

– Niewiele przesadził – powiedział Roe. – Znajdowaliśmy się w jednym z najbardziej odludnych rejonów świata. Bardzo pilnowałem tego, żeby nikt z członków wyprawy nie opuszczał namiotu po zmroku. Wielu turystom wydaje się, że nie są w buszu, lecz w ogrodzie zoologicznym. Wymykają się nocą do ubikacji lub łazienki i narażają życie. Jednak tego dnia cierpiałem na lekką dyzenterię i czułem, że nie dam rady doczekać do rana.

– Jakieś zwierzę zaatakowało cię w drodze do wychodka? – zapytała przerażona Gingie.

– Kiedy szedłem tam, nic się nie wydarzyło. Natomiast gdy chciałem powrócić do namiotu, zobaczyłem, że przed wychodkiem siedzi hipopotam.

– Ojej, ale one są takie słodkie – powiedziała Gingie.

– Zabijają więcej turystów niż jakiegokolwiek inne afrykańskie zwierzęta.

– Ale dlaczego? – zapytał Milo.

– Nie rzucają się na ludzi bez powodu – wyjaśnił Roe – lecz wpadają w panikę, jeżeli ktoś lub coś zagrozi im drogę do wody. Znajdowaliśmy się na niewielkiej wysepce wśród bagien. Hipopotam patrzył na mnie i w którąkolwiek stronę bym odszedł, wciąż znajdowałbym się między nim a wodą.

– Czyli próbował cię stratować po wyjściu z klozetu? – dopytywał się Milo.

– Niezupełnie. Wycofałem się i nie wyściubiałem nosa ze środka. Mój schron był jednak zbudowany ze słomy i dość niesolidny. Hipopotam wpadł w szał i doszczętnie rozwalił cały przybytek, a na koniec mnie stratował.

– Kiedy to się stało? – zapytał Milo.

– Jakieś osiem lat temu.

– I nie rzuciłeś w diabły tej pracy?

– Nie – zaprzeczył Roe. – Jakoś nie przestało mi się podobać moje zajęcie.

– Przypuszczam, że przez jakiś czas nie mogłeś prowadzić wypraw, skoro ledwie uszedłeś z życiem – powiedziała Gingie.

– Istotnie. Firma potrzebowała kogoś, kto zajmie się w Kairze sprawami organizacyjnymi, więc prawie rok tam przepracowałem. Potem wróciłem na szlak. Tym razem do Maroka i Zachodniej Afryki. To zajęło mi około dwóch lat, a przez następny rok wędrowałem po Egipcie i Sudanie. Wtedy zdecydowałem się na ekspedycje transafrykańskie. Taka wyprawa trwa od sześciu do dziewięciu

miesiący, zależnie od tego, czy...

– Czy na skróty, czy też dookoła – podsumował Milo. – Stary, nie wyglądasz na aż takiego masochistę. Życie w buszu? Całymi miesiącami? Budzić się rano gdzieś na końcu świata, setki albo tysiące mil od najbliższego baru?

– On nie pije – wyjaśniła Gingie.

– Pięć tygodni jazdy samochodem od najbliższego klubu jazzowego? – kontynuował Milo.

– Jestem przekonana, że mieszkańcy tamtych okolic mogą cię uraczyć dobrą muzyką – powiedziała Gingie.

– Bez jednej japońskiej knajpki z rybami suszi na horyzoncie?

– Nie każdy lubi wcinać surowe rybie mięso, Milo.

– A kobiety? Jak długo możesz wytrzymać bez kobiet, Roe?

– Połowa grupy to zwykle kobiety – odparł pytany.

– A każda z nich ma trochę daleko do fryzjera – nie dawał się przekonać Milo.

– Nie wiem, czy chciałbym lec u boku kobiety, która pół dnia walczyła z oszalałym hipopotamem...

– Niektóre kobiety zachowują klasę w każdych okolicznościach – odpowiedział Roe z wymownym uśmiechem.

– Doprawdy? – spytała Gingie.

– Roe! Ty łotrze! – Milo lekko szturchnął w bok Gingie. – Wiemy przynajmniej, że nic, co ludzkie, nie jest ci obce.

– Sympiasz ze swoimi klientkami? – zapytała Gingie, najwyraźniej poruszona tymi rewelacjami.

– Nnno... – Roe zauważył jej konsternację i pożałował tego, co powiedział. Masz za swoje, nie relaksuj się za dużo, kiedy ona jest w pobliżu, pomyślał.

– Pierwsza zasada to dyskrecja – odparł głośno.

– Kłania się tu twoje nienaganne wychowanie, Roe – powiedział Milo. – Gdybyśmy tak wszyscy byli równie kulturalni, co Gingie?

– Ja jestem kulturalna – zaprotestowała dziewczyna.

– Kulturalna? – zachnął się Milo. – Wywalenie pełnego talerza makaronu z pomidorowym sosem na głowę szefa naszej eks-wytwórni nie było szczytem kultury.

– To zupełnie co innego – oponowała Gingie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Roe z dużym zainteresowaniem.

– To był cham – odpowiedziała bez wahania.

– Obraził mnie i kompletnie wytrącił z równowagi Sandy'ego. Im wszystkim

wyduje się, że mają na własność ciebie i twój talent. Ten facet uważał, że powinnam być dla niego, hmmm, milutka czy coś w tym rodzaju. Miałam już szczerze dość taktownego dawania mu do zrozumienia, że jest nachalny. Wtedy był zalany i zupełnie przestał się kontrolować. Vince nie powinien mnie narażać na takie przygody. Sandy, pamiętasz ten wieczór, kiedy poszliśmy na party z Lukiem Swainem, zanim jeszcze poślubił Ninę?

Sandy przytaknął.

– Może nie powinnaś w ogóle chadzać na tego typu przyjęcia – powiedział Roe.

– Powiedz to swojemu bratu – westchnęła Gingie. – Jestem tym już mocno zmęczona, ale Vince rzadko kiedy liczy się z moim zdaniem.

Zapadło milczenie. Roe próbował uporządkować myśli. Rozumiał postępowanie brata, ale musiał przyznać, że Vince rzeczywiście nie liczył się z cudzym zdaniem. Prawdopodobnie wymuszał na Gingie pojawianie się w miejscach publicznych, za czym ona nie przepadała, i chował ją w cień, kiedy sprawy przybierały niekorzystny obrót.

Z drugiej strony, wiedział jednak, że Gingie wiele Vince'owi zawdzięcza. Odkrył ją, gdy grywała za grosze w podrzędnych knajpkach, o których aluzyjnie wspominał Milo. Wyciągnął ją stamtąd i uczynił z niej międzynarodową gwiazdę. A poza wszystkim, nie miała prawa tak krytycznie wyrażać się o Vinsie w przeddzień jego operacji. Czy choć raz od momentu, gdy tu przyjechała, zatroszczyła się o jego samopoczucie? Roe czuł, że jego irytacja rośnie, zwłaszcza że zbliżali się do domu, a on nie miał pojęcia, w jaki sposób taktownie rozparcelować gości w pokojach. Bóg jeden wie, co wydarzy się dzisiejszej nocy w jej sypialni. On sam wiedzieć tego nie chciał.

Pełna dyskrecja była tu z pewnością jedynym i najlepszym wyjściem. Gdy tylko wyładowali bagaże. Roe zwrócił się do obu mężczyzn:

– Gingie pomoże się wam rozgościć. Wie dobrze, gdzie co znaleźć. Ja wybieram się do Zu Aspanu, żeby mu zwrócić wóz.

– Jeszcze dzisiaj? – zdumiała się Gingie.

– Wóz będzie mu potrzebny jutro rano.

– Pójdę z tobą.

– Nie ma takiej potrzeby, Gingie.

– Ale to jest bardzo stroma i nierówna dróżka, a dookoła strasznie ciemno – protestowała.

– Pójdę raczej drogą, bądź spokojna.

– Weź chociaż latarkę.

– Znam dobrze trasę, nie potrzebuję światła.

– Ale, Roe!

– Nie przejmuj się, poradzę sobie – powiedział niecierpliwie. – Do zobaczenia jutro rano!

Gdy prowadząc osiołka zniknął w ciemnościach, Gingie posmutniała.

– Nie powinnam była mówić źle o Vinsie – zwróciła się do Milo. – Roe jest na mnie wściekły.

– No cóż, więcej tego po prostu nie rób – doradził Milo. – A przynajmniej powstrzymaj się od jakichkolwiek krytyk przez kilka następných dni.

– Przez kilka dni? – Gingie zerknęła na przyjaciela. – Dlaczego akurat kilka dni?

– Pomówimy o tym później. Czy nie mogłabyś na razie wskazać mi mojego pokoju? Nie spałem od wieków.

Gingie raz jeszcze spojrzała w mroczną przestrzeń, w której rozplynęła się sylwetka odchodzącego Roe.

– Okay – powiedziała wreszcie.

– Szkoda, że nie wiedziałem, jak położony jest ten dom – westchnął Milo. – Co za piekielnie strome urwisko. Nienawidzę wysokości.

– Proponuję ci sypialnię, której okna wychodzą na drogę – uspokoiła go Gingie.

Sandy uniósł obie swoje gitary, dając znak tym samym, że gotów jest przekroczyć progi domostwa.

– Wygląda na to, że muszę sam dźwigać swój instrument – powiedział Milo, podnosząc organy. – Czy nawet sława nie jest w stanie uwolnić człowieka od fizycznego wysiłku?

– Chodźcie wreszcie, pokażę wam pokoje – przynagliła Gingie. Sympatyczna atmosfera wieczoru wyraźnie się ochłodziła po odejściu Roe.

Ranek dnia następnego miał dostarczyć Roe wielu przykrości. Dość wczesnie wyruszył rowerem do wsi, by zakupić jedzenie i dowiedzieć się, dlaczego Maria Sellerio nie pojawiła się w domu, żeby zrobić porządki i przygotować lunch.

Signora Gambarossa, która poprzedniego wieczoru wypytała Gingie o wszystko w trakcie kolacji, nie mogła się powstrzymać, by z samego ranka nie podzielić się rewelacjami z połową wsi. Na Sontarze wiedzieli już wszyscy, że dwaj nieżonaci mężczyźni, którzy przyjechali w odwiedziny do Gingie i zatrzymali się w tym samym domu, nie byli bynajmniej krewnymi dziewczyny. Całą plotkę ubarwił ponadto Gaspare, niezłe zorientowany w pogłoskach na temat niektórych przedstawicieli amerykańskiej kultury pop. Rozniósł wieść, że obaj podejrzani

uchodzili za kochanków Gingie. Skandal, który wybuchł w zaledwie kilka godzin niczym wulkan, wywołał co najmniej takie samo zamieszanie, jak w swoim czasie zakup pojazdu do gry w golfa przez don Ciecica.

– *Certę cose non si fanno* – oświadczyła wyniośle teściowa signora Sellerio, gdy Roe kupował u niej pieczywo. A oznaczało to: – pewne rzeczy po prostu nie uchodzą!

Don Ciccio był zdania, że obaj niegodziwi muzykanci z Nowego Jorku najwyraźniej chcieli nadużyć honoru Gingie, która przecież wyglądała na miłą i dobrą dziewczynę. Dopytywał się, co też Roe ma zamiar uczynić, aby obronić jej dobre imię?

Signor Sellerio domagał się wyjaśnień sugerując, że jego córka nie przekroczy progów grzesznego domu, dopóki nie zostanie dowiedzione, że nie dzieje się tam nic niemoralnego. Przerażony Roe modlił się w duchu.

aby Maria nie stała się świadkiem jakichś szokujących scen i nie doniosła o tym ojcu. Byłby to dla Roe koniec życia na wyspie.

W drodze do domu Roe spotkał Zu Aspanu i opowiedział mu o całym zamieszaniu, a ten zapytał tylko:

– *E chi n hammu a vidiri li spicchia?*

Było to stare sycylijskie przysłowie, które znaczyło mniej więcej: „Lepiej trzymać się z daleka od tych spraw”. Roe pomyślał, że jego wuj majak zwykle rację.

Postanowił nie wracać do domu na obiad. Niech trójka obieżyświatów poradzi sobie sama. Signor Sellerio zgodził się przysłać Marię do pomocy następnego ranka. Roe przyjął zaproszenie wuja i wraz z nim zasiadł przy stole pod starym, sękatym drzewem. Zjedli prosty, lecz smaczny posiłek złożony z chleba, sera i oliwek.

Oto, jak powinno być zawsze na Sontarze, myślał z nostalgią Roe, wsłuchując się w leniwe bzyczenie much. Zu Aspanu pochrapywał w cieniu, a dzwony w *Santa Cecilia* obwieszczwały, że już druga. Zanim zjawiała się tu Gingie, dni miały swój stały rytm, tak stary jak oliwkowe drzewa porastające skaliste wzgórza wyspy.

– *Porca miseria!* – Wyprostował się nagle. Lisa! Zupełnie zapomniał o swojej małej siostrzyczce.

– *Cosa?* – wymruczał Zu Aspanu. – *Ma che fai?*

– Przepraszam, muszę już iść – oświadczył Roe. – Powinienem zadzwonić do kliniki i zapytać o zdrowie siostry.

– Czyżby telefony już działały? – pytał wuj z roztargnieniem.

– Tak, od wczoraj. *Ciao*.

Pomknął na rowerze do domu. Na tarasie zastał Milo, który układał właśnie skomplikowanego pasjansa z dwóch talii kart.

– Gingie zmusiła mnie do wyjścia na taras – poskarżył się natychmiast.

– Gdzie ona jest? – zapytał Roe odruchowo. Milo machnął ręką. Roe wyteżył wzrok i zobaczył!

na plaży Gingie i Sandy’ego.

– Próbowaliśmy wymusić na nim wspólne bieganie dzisiaj rano, ale jej się to nie udało – wyjaśnił Milo.

– Sandy bał się, że się na niego obrazi i w końcu zgodził się na intensywny spacer.

Gingie maszerowała sprężysto przez złocisty piach, a Sandy truchtał w ślad za nią. Jakimś siódmym zmysłem dziewczyna wyczuła obecność Roe i spojrzała w stronę domu. Kiedy go już zauważyła, pomachała radośnie w jego kierunku. Roe odmachał, choć był zły na siebie, że cieszy się na jej widok.

– Zauważyłem, że sporo ćwiczysz – mruknął do Milo.

– Tak, rzeczywiście dużo trenuję – zgodził się tamten. – A w dodatku nie rozumie, że inni nie mają takiego obowiązku.

Powstrzymując uśmiech, Roe obrzucił wzrokiem stertę brudnych naczyń i resztki posiłku zalegające na stole przed nosem Milo.

– Dowiedziałem się, dlaczego Maria rano nie przyszła. Zająłem się tym i jutro zjawi się na pewno.

– Nie przejmuj się – Milo niedbałym gestem wskazał cały nieporządek oraz resztki jakiegoś dania, które wyglądało dość zachęcająco. – Umówiłem się z Gingie, że skoro ja gotuję, ona będzie musiała pozmywać. Przystała na to.

– Coś mi się wydaje, że gotujesz całkiem nieźle.

– Roe zaglądał do salaterki.

– Mniej więcej od roku doskonalę swój kunszt. Odkąd mieszkam z Gingie, raczej nie mam wyboru. Jadłeś kiedyś jakieś jej danie?

Roe zaprzeczył z kamienną twarzą.

– No to masz szczęście. Chociaż jej siostra jest jeszcze gorsza.

– Camilla?

– Letycja.

– Znasz całą rodzinę? – zapytał ostrożnie Roe. Milo pokiwał leniwie głową, przekładając równocześnie karty w pasjansie.

– Tak, znam ich wszystkich. Nawet ojca, który przypomina Sandy’ego, tyle że

jest intelektualistą. Profesor Potter po trzydziestu latach usilnych prób doszedł do wniosku, że nie znajdzie we własnej rodzinie specjalnego posłuchu.

– Ojciec Gingie jest profesorem?

Milo z głębokim westchnieniem zgarmał karty ze stołu.

– Tak, wykłada antropologię na uniwersytecie w Ann Arbor. Matka Gingie też pracuje naukowo. Zajmuje się problemami kobiet, Gingie jest niby tą najgłupszą w rodzinie, ale ja uważam, że to tylko pozory. Czy próbowałeś z nią kiedyś dyskutować? Każdą swoją rację potrafi logicznie uzasadnić.

Roe pokiwał głową i zerkał w kierunku plaży. Gingie zbliżała się do skalnych schodków, a Sandy podążał tuż za nią.

– To prawda. Wszystko, co mówi, brzmi na początku nonsensownie, ale z czasem dochodzisz do wniosku, że właściwie ma słuszość.

– Dokładnie tak – przyznał Milo. – W dodatku posiada niesamowitą umiejętność owijania sobie ludzi wokół palca. No, może z wyjątkiem szefów wytwórni płytowych. I nie chodzi tu o to, że jest sławna, utalentowana czy też uparta. Gdyby nawet nie była, ludzie i tak jedliby jej z ręki.

Roe opadł na krzesło, zastanawiając się nad słowami Milo.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytał. Milo wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że jest najmilszą osobą pod słońcem. – Po raz pierwszy nie było w jego głosie ironii czy sarkazmu. Mówił to całkiem serio. – Dziabniesz trochę rumu? – zaproponował.

– Nie, ja... Dziękuję, Milo. Muszę zatelefonować.

– Jesteś nareszcie! – Gingie prawie bez tchu wpadła na taras. Tuż za jej plecami Sandy przesyłał Roe milczące pozdrowienie.

– Nie jesteś przypadkiem głodny? – zapytała.

– Nie. Muszę zadzwonić w jedno miejsce. – Roe podniósł się gwałtownie z krzesła. Nie chciał być niegrzeczny, ale zarumieniona twarzyczka Gingie i jej zdziwione błękitne oczy znowu wywarły na nim niespodziewanie mocne wrażenie. Miał ochotę całować te delikatne usta, przytulać tę szczupłą, wyprostowaną postać i chłonać emanującą z niej radość.

Milo się nie mylił. Gingie umiała robić na ludziach wrażenie.

Tylko że te odczucia, które wzbudzała w Roe, wcale nie były przyjemne. Czuł w sercu dziwne ukłucia i wzbierającą złość. Z zażenowaniem musiał sam przed sobą przyznać, że jest po prostu zazdrosny.

Gingie zamieniła jego małą, spokojną wysepkę w gejzer plotek. Mimo że tłumaczył jej, jak wielką wagę przywiązuje się na Sontarze do tradycyjnych

wartości i norm, bez żenady zamieszkała pod jego dachem z dwoma mężczyznami naraz. Jak on sam mógł nadal pozostawać pod jej urokiem? Dać się zwieść jej pozornej bezbronności i życzliwości? Ta dziewczyna nawet nie dbała o to, że człowiek, któremu zawdzięczała całą karierę, znajduje się może w tej chwili na operacyjnym stole.

Poszedł do salonu, by zatelefonować do kliniki. Lisa zorientowawszy się, z kim rozmawia, warknęła.

że gdyby jej w swoim czasie nie sterroryzował, nigdy nie znalazłaby się w tym miejscu.

– I nie próbuj znów do mnie dzwonić! Nie mam zamiaru z tobą więcej rozmawiać! Nienawidzę cię! Jeżeli dzwonisz, to nie chodzi ci wcale o mnie. Chcesz tylko uspokoić swoje parszywe sumienie.

– Lisa, kochanie... – Próbował do niej przemówić, ale usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Zamknął oczy i z trudem przełknął ślinę. Wiedział z góry, że to usłyszy. Nie łudził się, że będzie inaczej. Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim dojdzie do siebie i przestanie się na niego wściekać.

Pomimo że to wszystko wiedział, nie było mu wcale lżej.

– Lisa, proszę... – wyszeptał do siebie. – Nie mogłem pozwolić, żebyś... Po prostu nie mogłem.

– Roe? – Gingie wkroczyła do pokoju. Miała na sobie krótką bawełnianą sukienkę w kolorze morskiej zieleni, z mnóstwem jedwabnych frędzli zwisających ze wszystkich stron. Wyglądała promiennie i ślicznie. – Już zadzwoniłeś?

– O co chodzi? – zapytał łagodnie.

– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy wszyscy wybrać się gdzieś dziś wieczór. Czy jest na wyspie jakieś miejsce z dobrą muzyką? Może byśmy...

– Skąd ten pomysł? Po co niby miałbym dokądś z wami iść? – warknął Roe.

Gingie otworzyła ze zdumienia usta. Była wyraźnie zszokowana jego reakcją.

– Ja... Ja przepraszam... Myślałam tylko...

– Nic nie myślałaś, Gingie. – Roe czuł się zraniony. Narastał w nim jakiś ból i miał ochotę wyładować całą wściekłość na dziewczynie. – Ty po prostu w ogóle nie myślisz. Nigdy. Czy wiesz, gdzie byłem dziś rano?

– We wsi? – zapytała pokornie.

– A wiesz, co tam robiłem? – Gdy Gingie przecząco pokręciła głową. Roe wyciągnął zza eleganckiego biurka matki drewniane krzesło. Postawił je przed dziewczyną i nakazał gestem, by usiadła.

– Całe przedpołudnie strawiłem na bezowocnych próbach uciszenia

koszmarnych plotek, które od wczoraj krążą po wsi – zaczął.

Gingie spojrzała na niego opanowana.

– Wokół mnie zawsze rodzą się głupie plotki. Staram się je lekceważyć.

– To pięknie. A nie przyszło ci do głowy, że one uderzają także w innych? W tym wypadku we mnie.

– Spróbuj puścić je mimo uszu – zaproponowała.

– Do jasnej cholery, Gingie! Ja tutaj mieszkam!

– Myślałam, że bardziej w Afryce niż tutaj.

– Tutaj też. Przez cały ranek łągałem jak najęty. Wmawiałem wszystkim sąsiadom i znajomym, że w tym domu nie dzieje się nic nieprzyzwoitego.

Gingie spojrzała na niego z wyrazem najwyższego zdumienia.

– A czy tu dzieje się coś nieprzyzwoitego?

– Posłuchaj. Jeżeli musisz sypiać z dwoma mężczyznami naraz, to twoja sprawa. Jeżeli nie przejmujesz się tym, co o tobie wypisują różne brukowce, punkt dla ciebie. Ale na tej wyspie panują inne obyczaje. Tutaj nawet para zaręczonych nie ma prawa zamieszkać razem przed ślubem. Za kogo ty siebie uważasz? Co chcesz udowodnić, paradując tak na ludzkich oczach z dwoma kochankami naraz?

– O mój Boże... – wykrztusiła Gingie. – Więc oni myślą... – pokręciła głową z rezygnacją. – Myślałam, że przynajmniej tutaj uwolnię się od tego koszmaru.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim Milo i Sandy wprowadzili się do twojej sypialni.

– Ale przecież tak się nie stało! Oni mieszkają we własnych pokojach!

– Wielka różnica.

– Nie rozumiesz... – protestowała.

– Jedno zrozumiałem bardzo dobrze – warknął Roe.

– To, że jesteś kompletnie próżna i bezmyślna. Masz w nosie to, że obrażasz innych swoim zachowaniem, i to, że przewracasz do góry nogami czyjeś życie.

– Ja nie chciałam...

– I nawet nie udajesz, że masz w nosie także Vince'a, człowieka, który tyle dla ciebie zrobił.

Poderwała się z krzesła.

– Bardzo szanuję Vince'a. Niesłusznie mnie oskarżasz!

– Tak bardzo ci na nim zależy? I mimo to proponujesz, żebyśmy poszli się zabawić, zamiast siedzieć tu i czekać na telefon? Nie interesuje cię wynik operacji?

Gingie spojrzała na niego w osłupieniu.

– O czym ty mówisz?

– Bóg mi świadkiem, że nie chciałem niańczyć cię tu, na wyspie, ale ten biedak nie miał cię dokąd wysłać. Zaczynam go rozumieć.

– Operacja? – Gingie patrzyła na Roe z grozą w oczach.

Roe nie mógł się powstrzymać, by nie mówić dalej, choć zdał sobie sprawę z tego, że trochę przesadził.

– A ty myślisz tylko o tym, jak tu się najlepiej zabawić, skoro jesteś na wakacjach.

Gingie z trudem łapała powietrze. Zaciśnęła powieki i wyszeptała:

– Wakacje. Tak powiedział. Chciał, żebym dokądś wyjechała, odpoczęła i miała trochę samodzielności. Chciał, żebym... – Po jej policzkach płynęły łzy.

– Myślałam, że mi ufa...

– Gingie... – Z Roe nagle uszła cała złość. Wolałby, żeby wpadła w furję, niż żeby płakała. – Gingie, ja...

– On dziś przechodzi jakąś operację? – zapytała nagle. Otworzyła oczy i popatrzyła na Roe, wciąż płacząc. – Powiedziałeś, że ma operację?

– O Boże, Gingie... – Roe opadł bezradnie na krzesło i utkwiał wzrok w podłozie. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak dalece Vince izoluje Gingie od rzeczywistości. – Nic ci nie powiedział, prawda?

–

Rozdział 6

Gingie sztywno usiadła na kanapie. Czuła się przybita i zupełnie odrętwiała. Serce. Operacja. Rekonwalescencja... Te słowa odbijały się głuchym echem w jej głowie.

– Gingie, jesteś biała jak ściana. Czy coś ci podać? Chcesz trochę słodkiej, mocnej kawy?

Pokręciła przecząco głową. Ponieważ nalegał, powiedziała wreszcie:

– Nie! – A kiedy zabrzmiało to ostrzej, niż chciała, dodała: – Przepraszam.

Roe usiadł obok na kanapie i ujął jej dłoń.

– Roe, dlaczego on nic mi nie powiedział?! – zawołała nagle.

– Prawdopodobnie nie chciał cię martwić.

– Miałam prawo wiedzieć! – uniosła się. – Znam Vince’a od ośmiu lat. Jak mógł mi to zrobić?

– Vince musi panować nad wszystkim nawet wówczas, gdy leży pod narkozą na stole operacyjnym – tłumaczył Roe. – Myślę, że dla twojego dobra udawał po prostu, że wszystko jest normalnie.

– On mi najzwyczajniej w świecie nie ufa – przez głos Gingie przebijało rozgoryczenie. – Mieliśmy kolejną sprzeczkę po tym, jak... Jak wywaliłam tamtemu facetowi talerz z makaronem na głowę podczas przyjęcia. Powiedziałam wtedy Vince’owi, że jestem już zmęczona tym ciągłym trzymaniem mnie pod kloszem. W jakiś tydzień później Vince powiedział: „Może byś na trochę wyjechała? Pobyła gdzieś na własną rękę?”

– Miał na myśli przyjazd tutaj? Przytaknęła.

– Nigdy wcześniej nie wyruszałam w świat sama, więc wspólnie wszystko omówiliśmy i doszliśmy do wniosku, że to dobre rozwiązanie. Przekonywał mnie, że w domu na wyspie będzie mi wygodnie i że zadba o to, żeby ktoś się tu o mnie zatroszczył. – Położyła sobie na kolanach rękę Roe i bezwiednie ją gładziła. Fizyczny kontakt z kimś działał na nią kojąco. – Och, Roe, ja chciałam wreszcie się wyrwać i wydawało mi się, że on to zrozumiał. Czy to zbyt skomplikowane?

– Nie. Rozumiem, Gingie. – Jego dotyk był ciepły.

– Naprawdę? – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– No jasne. Jak myślisz, dlaczego przez czternaście lat ukrywałem się w buszu?

– Myślałam, że to najbardziej lubisz.

– To prawda – przyznał. – Ale chciałem też ukryć się przed moimi rodzicami,

macochą, siostrą, bratem I tym wszystkim, co mnie z nimi łączyło. Trochę też chciałem uciec przed samym sobą.

– Udało ci się to?

Na twarzy Roe wykwitł chłopięcy uśmiech.

– Niezupełnie. Ale metodą prób i błędów osiągnąłem stan, w którym jakoś sam ze sobą wytrzymuję.

– Z tego samego powodu i ja chciałam na chwilę uciec. Postawiłam wszystko na jedną kartę, Roe. Całe moje życie kręciło się dotąd wokół pracy. I nie żałuję tego. To nawet nie wydawało mi się specjalnym poświęceniem, przynajmniej do niedawna.

– A teraz?

Podwinęła nogi i nieco przysunęła się do Roe. Czując obok jego ciepłe ramię i ledwo panowała nad chęcią przytulenia się do niego.

– Chciałam coś zmienić i wydorosnąć wreszcie. Dusiałam się w Nowym Jorku.

– Vince nie pozwalał ci na samodzielność.

– Nie chcę go o nic oskarżać, Roe. Miał swoje powody. Jestem dobra w tym, co robię, ale kompletnie nie znam się na niczym innym. Moje życie było jednym wielkim bałaganem, zanim spotkałam Vince'a. Podpisywałam niewłaściwe kontrakty, nie umiałam niczego zaplanować, współpracowałam z nieodpowiednimi ludźmi. Nie radziłam sobie też z pieniędzmi. Dopiero za swój pierwszy platynowy album zdołałam spłacić długi, w których przedtem tkwiłam po uszy. Vince, razem z księgowym, wyciągnęli mnie z długów i zaczęli praktycznie sterować moim życiem. Ale Vince niczego mnie nie uczył, po prostu robił to za mnie. Płacił wszystkie rachunki i wydzielał mi tygodniówkę. W zeszłym roku znowu przyznano mi tytuł jednej z kobiet sukcesu Ameryki, a ja nawet nie mam własnej książeczki czekowej. Podpisywałam tylko wszystko, cokolwiek Vince mi podtykał.

– Masz szczęście, że jest taki uczciwy – powiedział Roe.

– To prawda – przyznała.

– Och, Gingie – Roe westchnął i pogładził ją po głowie. Odwróciła się ku niemu i przytuliła policzek do jego dłoni. Jego bliskość zaczynała wypełniać w niej jakąś dojmującą pustkę, o której istnieniu wcześniej nie wiedziała.

– Zajęłaś to miejsce w życiu Vince'a, które zwolniła, umierając, nasza matka.

– Co masz na myśli? Nadal gładził jej policzek.

– To stara historia – powiedział po chwili.

– Opowiedz mi – prosiła. – Nikomu nie powtórzę. Roe wahał się przez chwilę, lecz w końcu zaczął:

– Kiedy miałem pięć lat, a Vince piętnaście, opuścił nas mój ojciec. Mama wtedy... – spuścił głowę. – Bardzo kochałem swoją mamę, a ona sama miała dla nas ogromnie dużo serca. Ale miała też wiele bardzo poważnych problemów ze sobą.

– Wiem, że umarła od przedawkowania – odpowiedziała ostrożnie Gingie.

– Bardzo się załamała po śmierci ojca Vince’a. Wytwórnia jednak nie chciała czekać z ukończeniem filmu do czasu, kiedy na nowo będzie w formie. Trzymali ją więc na proszkach. Myślę, że to był początek złego. Potem odstawiła leki na jakiś czas. Poznała mojego ojca i wyszła za niego za mąż.

– Fotografie ich obojga z tego okresu wyglądają jak obrazki z bajki – powiedziała Gingie. Twarz Roe wyrażała taki smutek, że dziewczyna odruchowo przylgnęła do niego. Poglądził dłonią jej kark, a potem objął ją ramieniem.

– Mój ojciec nigdy nie rozumiał problemu nałogów. Trzydzieści pięć lat temu był równie egoistyczny jak dziś. Sam często pił, czasami nawet dużo, ale nigdy nie kłóciło się to z jego pracą. Nie mógł zrozumieć, dlaczego matka nie jest w stanie się powstrzymać, kiedy już zacznie. Bardzo surowo i krytycznie traktował tę jej... słabość. Wciąż dochodziło do konfliktów.

Zu Aspanu wrócił z Hollywood na Sycylię wkrótce po moim urodzeniu. Nie mógł już znieść ani Hollywood, ani mojego ojca. Moja matka... Myślę, że to było już nieuniknione. Wróciła wtedy do prochów na dobre. Kiedy ojciec to odkrył, porzucił ją i nas. W ciągu roku przeprowadzili rozwód. Ja i Vince zostaliśmy przy matce.

– W ten sposób Vince w wieku piętnastu lat został głową rodziny – odgadła Gingie, a Roe przytaknął. – Czy wiesz, że nigdy mi o tym nawet nie wspomniał?

– To nie w jego stylu – odparł Roe. – Vince przejął wszystkie funkcje i obowiązki ojca. Budził mamę rano i wysyłał ją do pracy. Przygotowywał posiłki, wyprawiał mnie do szkoły i dopiero wtedy szedł do szkoły sam. Przejął kontrolę nad domową kasą i wypłacał mamie określone sumy. Pilnował, żeby nie kupowała alkoholu i proszków, i rozliczał każdą wydaną przez nią kwotę. Musiała się przed nim ze wszystkiego spowiadać.

– Chyba coś o tym wiem – westchnęła Gingie. Poza kontrolą nad używkami, wszystko się zgadzało.

– Sam był wtedy jeszcze dzieciakiem – powiedział Roe, bezwiednie głaszcząc ramię dziewczyny. – To nie było dla niego łatwe. Paradoksalnie, przez całe moje dzieciństwo tylko Vince dawał mi jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa. Miałem jakieś dziesięć lat, kiedy zacząłem powoli orientować się w sytuacji. Zdałem sobie

sprawę z tego, że moja kochana, wielkoduszna matka jest o krok od samowyniszczenia. Vince był już wtedy w college'u i zaczął oczekiwać ode mnie jakiejś pomocy w tej kurateli.

– Ale przecież ty byłeś jeszcze dzieckiem – zaprotestowała Gingie.

– Wtedy ja już musiałem budzić mamę i wyprawiać ją do pracy. Dla nas obojga było to prawdziwym koszmarem. Dziesięcioletni synek dyrygował każdym krokiem kobiety, która uchodziła wtedy za jedną z najbardziej utalentowanych i uznanych aktorek świata. Zanim skończyłem dwanaście lat, miałem już tego serdecznie dosyć. Nie cierpiałem swojej funkcji, polegającej na chowaniu przed nią alkoholu, sprawdzaniu jej kieszeni i portfela. Miotając się tak między Vince'em i mną, matka nie miała już ochoty na kolejne małżeństwo. Potem między mną a Vince'em zaczął się rysować konflikt. Nie chciałem zgodzić się na metody narzucone przez Vince'a, a on nie wyobrażał sobie innych. Jedyne szczęśliwe chwile następowały wtedy, kiedy wszyscy troje przyjeżdżaliśmy tutaj. Na Sontarze matka stawała się nagle innym człowiekiem, czuła się spokojna i bezpieczna. Błagałem ją, żebyśmy tu pozostali na dobre i nigdy już nie wracali do Hollywood. Ale ona... – Roe wzruszył ramionami. – Nie wyobrażała sobie życia bez pracy. Była pod tym względem podobna do ciebie.

– Ale takie życie ją zabijało – powiedziała Gingie ze smutkiem.

– Vince w tym czasie ożenił się z Alice i wyprowadził z domu. Nadal jednak wymagał ode mnie sprawowania kontroli nad matką. Kiedy podczas zdjęć do „Wybaczcie nam nasze winy” matka wymknęła się spod kurateli i była prawie na dnie, Vince omal mnie nie zabił.

– Za ten film dostała przecież Oscara, prawda?

– Tak. Również nagrodę w Cannes. Po jakimś czasie Vince i Alice przenieśli się z Los Angeles do Nowego Jorku. Wtedy nie umiałem już nad matką zapanować, choć bardzo się starałem.

– Człowieka, który sam chce siebie zniszczyć, nie sposób od tego powstrzymać. To jest niemożliwe.

– Dużo czasu upłynęło, zanim to zrozumiałem. Kiedy Vince znikł z horyzontu, matka zaczęła pić, a jednocześnie zażywała wszelkie możliwe prochy. Któregoś ranka przed pójściem do szkoły zastałem ją leżącą bez przytomności na podłodze w łazience. Odebrali jej wówczas rolę w „Tequilla Road” po czterech tygodniach kręcenia i zaangażowali jakąś francuską aktorkę. Dla matki był to już koniec. Spadła samochodem z urwiska. Jak na ironię, wyszła z tego poturbowana i pokaleczona, ale cała.

– Czytałam o tym – wspomniała Gingie.

– Oddali ją na leczenie, a mnie skierowali pod opiekę ojca. Zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy od trzech lat.

– Dlaczego Vince się tobą nie zajął?

– Chciał, ale sąd przydzielił mnie ojcu, który zresztą nie miał nic przeciwko temu. A jeszcze bardziej niż on chciała tego jego nowa żona. Candy Jirrell. Mała Lisa była już wtedy na świecie i Candy uroiła sobie, że możemy w czwórkę utworzyć typową, zgodną, amerykańską rodzinę.

Roe zatopił twarz we włosach Gingie i przytknął oczy. Było mu dobrze. Złe wspomnienia nie bolały tak bardzo, kiedy Gingie była obok.

– Kiedy ojciec wyjechał do Vegas, a Candy dostała rolę w telewizyjnym serialu, nowa rodzinka trochę się rozluźniła. Siedziałem w domu sam z Lisą, która miała wtedy trzy lata.

– W ten sposób zostałeś jej bratem, matką i ojcem w jednej osobie – powiedziała Gingie.

– Coś w tym rodzaju. Lisa była takim słodkim maleństwem, że trudno było jej nie kochać.

– Mając ciebie, Lisa wygrała prawdziwy los na loterii – mruknęła. – Co się działo, kiedy mama ostatecznie wyszła z kliniki?

– Rozegrała się wielka bitwa. Matka chciała wziąć mnie do siebie. Bóg mi świadkiem, że nie miałem wcale ochoty mieszkać z Candy i ojcem, ale nie miałem serca opuszczać Lisy.

– Trudny wybór jak na kogoś, kto ma tylko kilkanaście lat – powiedziała Gingie ze smutkiem.

– Szczęśliwie dla mnie, rozstrzygnięcie przyszło z zewnątrz. Vince, ojciec i prawnik sprawujący opiekę nad matką zdecydowali, że mój powrót do niej wywołałby jeszcze większy skandal. W końcu spędzałem z nią tylko wakacje na Sontarze i weekendy w Stanach.

– Kiedy w końcu opuściłeś dom? Poszedłeś na studia?

– Niezupełnie. Wyprowadziłem się z domu po skończeniu osiemnastu lat. ale nie kontynuowałem nauki. W szkole miałem bardzo kiepskie stopnie i jako krnąbrny, próżny, pewny siebie dzieciak uważałem, że studia nie dadzą mi tego, czego szukam.

– Więc co zrobiłeś? – dopytywała się.

– Przez parę lat pracowałem dorywczo w firmie produkującej filmy.

– Ale nie dawało ci to wiele szczęścia? Roe poruszył się niespokojnie.

– Wydawało mi się, że mieliśmy pomówić o Vinsie, a nie o mnie.

Gingie odsunęła się, ale tylko na tyle, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Czy on jest operowany właśnie w tej chwili?

– Prawdopodobnie.

– Kiedy będziemy mieli jakiś sygnał od Alice?

– W ciągu kilku najbliższych godzin.

– Mamy więc dużo czasu dla siebie, prawda?

– Gingie... – Roe nagle zdał sobie sprawę z jej bliskości, poczuł pod ramieniem jej ciepłe, pulsujące ciało. Patrzyli sobie w oczy i Roe rozpoznał znajomy, ciemnobłękitny, lekko zamglony ogieniek, który zapalał się w jej spojrzeniu.

– Te blizny prawie już znikają – powiedziała Gingie, leciutko gładząc szramy na policzku Roe.

– Nie dotykaj mnie w ten sposób – powiedział.

– Przepraszam – bąknęła nieśmiało i odsunęła się od niego na kanapie.

– Może to źle zabrzmiało... – tłumaczył się Roe. Jego wzrok spoczął na białej jak alabaster szyi dziewczyny. Skóra Gingie była gładka i nieskazitelna niczym świeży krem, a zniewalający zapach jej piersi sprawiał, że zasychało mu w gardle.

– Gingie – przemówił znowu, powtarzając sobie w duchu, że jako dojrzały, doświadczony mężczyzna potrafi zapanować nad sytuacją. – To nie jest...

Pełne usta Gingie wyglądały pociągająco i apetycznie. Była oszalamiająco piękna, a sposób, w jaki układała nogi i prostowała plecy, atakował wszystkie zmysły Roe.

– To nie jest co? – wyszeptwała.

Jej niski, niepewnie brzmiący głos prowokował Roe. Wyobrażał sobie, że Gingie szepcze mu do ucha o swoich sekretnych pragnieniach, a dzieje się to wśród szeleszczących prześcieradeł jego łóżka. Przez jego głowę przelatywały nie kontrolowane obrazy, które rozpały jego wyobraźnię i domagały się zaspokojenia ciekawości.

Jak też Gingie zwracała się do mężczyzny w życiu, jeżeli jej piosenki były tak intrygujące i zmysłowe? Jak brzmiałby jej melodyjny, miodowy głos w chwili namiętnego zatracania się? Jak te długie uda, na które Roe usilnie próbował nie zwracać uwagi, wyglądałyby oplecione wokół niego?

Czy to, co wydarzyłoby się między nimi, byłoby czułe i delikatne, jak kazało wierzyć jej dziecinne, ufne spojrzenie? Czy też byłoby to gwałtowne i dzikie, co obiecywał gorący płomyk, jaki czasem zapalał się w jej oczach? Obie możliwości były pociągające.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że balansuje na granicy niebezpieczeństwa.

– Roe? – szepnęła Gingie.

Wyraz twarzy Roe był mroczny i nieprzenikniony, ale Gingie czuła, że wszystkie jego myśli koncentrują się na niej. Był napięty i wydawało się, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Jego oddech stał się przyspieszony, a na policzkach pojawiły się ciemne rumieńce. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Gingie poczuła, że także oddycha szybciej.

– O mój Boże – wyszeptała, a słowa więzły jej w gardle. Jej zmysły, podrażnione bliskością Roe, były napięte.

Usta Roe rozchyliły się nieco i poczuła dotkliwy głód i tęsknotę, tłumioną dotąd przez narzuconą sobie przez całe lata dyscyplinę. Jej spojrzenie powędrowało wzdłuż jego ciała. Nie przyniosło to żadnej ulgi wzbierającemu w niej napięciu. Nagle zauważyła, jak Roe reaguje na jej spojrzenie.

– Ja nie... – Urwała nagle. Jak to się działo? Jakie czary rzucał na nią Roe? – Szekspirowski mag – powiedziała cicho. W jej myślach panował kompletny chaos. – Prospero...

– Nie nazywaj mnie tak. – Głos Roe zabrzmiał jednocześnie ostro i zmysłowo. Przesunął dłonią po jej udach, unosząc do góry rąbek zwiewnej sukienki.

Gingie oddychała tak szybko, jakby przebiegła przed chwilą dwadzieścia mil bez odpoczynku. Właściwie powinna uciec daleko, powinna ruszyć teraz. Lec/, zamiast uciekać, pochylała się coraz bliżej ku niemu, Ignąc do jego naprężonego ciała, drżąc i z trudem próbując uzyskać równowagę między wzbierającą w niej tęsknotą za zbliżeniem a paraliżującym strachem.

Roe powoli gładził jej sprężyste, smukłe uda. Mimo wzbierającego pożądania, wyczuwał jej nerwowość. Czy wątpiła w to, że naprawdę jej pragnął?

– Twoja skóra jest jak jedwab, jak płatki lotosu, jak świeży krem... – przemawiał cicho.

– Och... – westchnęła półprzytomnie. – Kiedy to robisz... zaczyna mi się kręcić w głowie.

– A kiedy robię tak? – dotykał coraz mocniej. – Albo tak? – Przesunął dłonią po wewnętrznej stronie jej ud i sięgnął palcami aż po napięty, elastyczny materiał jej majteczek.

Gingie osunęła się wprost w jego ramiona i zarzuciła mu ręce na szyję. Spragniony jej coraz bardziej i sam już mocno oszołomiony. Roe oparł się na poduszkach kanapy i posadził Gingie na sobie. Trzymał ją tak, by ich biodra mocno przywierały do siebie i by Gingie dobrze poczuła skutek, jaki wywołała w jego

ciele.

– Oto. co mi zrobiłaś – uskarżał się. – I to nie pierwszy raz.

– Naprawdę? – Była zbyt oszołomiona, by odczuwać skrępowanie, gdy Roe pieścił jej brzuch i prowokacyjnie wiercił się pod nią.

– O, taak... – mruzczał.

Ich wargi spotkały się i poczuła, jak ciepłe, delikatne usta Roe rozchylają się, a jego język zaczyna leniwą, podniecającą penetrację. Pocałunek był długi, głęboki. Jego usta wędrowały po jej policzkach, powiekach, szyi. Wędrówka ta trwała nieustannie i pozbawiała ją oddechu. Sposób, w jaki jego język śmiało wślizgiwał się do jej ust i igrał z jej językiem, pieszcząc go i drażniąc, świadczył o tym, że Roe wiedział wiele o kobietach.

Ciało Gingie bezwładnie poddawało się wprawnemu dotykowi, jej biodra, prowadzone silnym ruchem jego dłoni, mocno i zuchwale ocierały się o niego. W odpowiedzi jeszcze mocniej i śmielej przyciągnął ją ku sobie, szepcząc jakieś gorące słowa, a nabrzmiałe wybrzuszenie pod sztruksem jego spodni rosło i twardniało, rozkosznie drażniąc czułe zakątki jej ciała.

Długie westchnienie wyrwało się z piersi dziewczyny, by zaraz zamienić się w cichy jęk. Roe odnalazł pod sukienką drogę do jej kobiecej tajemnicy i wdarł się tam szturmem swoich długich, zwinnych palców. Gwałtowny spazm rozkoszy zaskoczył Gingie tak nagle, że zacisnęła uda i uwięziła między nimi jego rękę.

Po latach ostrożnie kultywowanego, heroicznego oporu, Gingie czuła, że kapituluje. Roe ponawiał bezwstydną szturmę systematycznie, choć z wielką delikatnością, bo zdobywany bastion należał do najczulszych i najbardziej kruchych twierdz na świecie.

Gingie westchnęła i znów go pocałowała. Jej jasne włosy łaskotały policzek Roe, smukłe uda otulały jego dłoń dokonującą wciąż nowych podbojów, a jej usta miały smak najśłodsze wino.

Zaczęła odpinać guziki jego koszuli. Jedną nogą oparła się dla równowagi o podłogę. Roe natychmiast to wykorzystał, podarowując jej jeszcze więcej rozkoszy. Jej ciało zakołysało się i napięło. Roe zaczął rozpinać króciutką sukienkę.

– Coś nie tak? – wymruczała.

– Te frędzelki powplątywały się w zapięcie. Nie mogłabyś dobierać sobie prostszej odzieży?

Gingie roześmiała się, a jej drobne piersi otarły się o jego tors. Objął ją mocno w talii, podciągnął ku górze i zaczął całować stwardniałe sutki przez cienką

tkaninę. Chwytał je delikatnie zębami, masował dłonią I obsypywał pocałunkami, głodny prawdziwego dotyku i smaku jej nagiego ciała.

– Chciałem tego już wtedy, w hotelu w Trapani.

– Naprawdę?

– Chyba wiedziałaś – powiedział.

– Ja... Och...

– Pomóż mi się z tym uporać – nalegał, szamocząc się z frędzlami i wymyślnymi haftkami sukienki.

– Ach... Zrób to jeszcze raz.

– Pod warunkiem, że pozbędziesz się tej piekielnej kiecki.

– Dobrze. Oj, tak, jak teraz dobrze... – Po chwili omdlałym głosem dodała: – Możesz w końcu ją ze mnie zedrzeć.

Roe zaczął już zabierać się do dzieła, gdy oboje podskoczyli gwałtownie słysząc dzwonek telefonu. Spojrzeli na siebie oszołomieni.

Drugi dzwonek wywołał u obojga zaskoczenie, trzeci coś w rodzaju szoku, a czwarty zażenowanie i zmieszanie. Podczas piątego dzwonka Gingie próbowała wysliznąć się z objęć Roe, a podczas szóstego Roe starał się ją zatrzymać. Siódmy dzwonek niespodziewanie ucichł w połowie, bo ktoś odebrał telefon. Gingie i Roe spojrzeli po sobie. Zapadło milczenie, któremu wtórowały ich przyspieszone oddechy. Wreszcie odezwała się Gingie:

– Ja... Ja nie mogę tego z tobą zrobić.

Roe spochmurniał. Usiłował zapanować nad własnym podnieceniem.

– To nie jest w porządku, nie uważasz?

– Przepraszam – wyszeptała bezradnie. – Ja nie mogę... Gingie zdała sobie sprawę, że opanowanie tak wielkiego podniecenia sporo go kosztuje. Wyglądał jak po ciężkiej kontuzji. Poczowała się winna.

– To wszystko przeze mnie.

– Co masz na myśli? – Głos Roe zdradzał najwyższą irytację.

– Nie powinnam była... Nie powinnam...

Wciąż odruchowo ją obejmując. Roe oparł głowę o brzeg kanapy i zamknął oczy.

– Cholera.

– Nie rozumiesz, że... – Gingie urwała w pół słowa.

– Rzeczywiście, do licha, nie rozumiem.

– To bardzo skomplikowane, ale postaram ci się wytłumaczyć.

– Nie przypuszczam, abym był teraz w stanie wysłuchać twoich tłumaczeń,

Gingie.

– To mi się zwykle nie zdarza.

– Ależ oczywiście, skądże – ironizował Roe.

– Ja przed tym uciekam.

– Zauważyłem. I jesteś w tym dobra. – Wypuścił ją wreszcie z objęć. –

Chciałbym, żebyś mnie teraz zostawiła samego, Gingie.

– Aleja też czuję się okropnie! – Odgarnęła ciemne kosmyki z jego czoła.

– Nie dotykaj mnie w ten sposób. Czy raz już cię o to nie prosiłem?

– Roe, proszę, popatrz na mnie. – Gdy nie odpowiedział na jej prośbę, Gingie spytała rozpaczliwie: – Czy wiesz, jaka jest tajemnica sukcesu moich przebojowych singli i albumów?

– Nie mam ochoty w tej chwili gawędzić o twojej karierze – odpowiedział ostro. – Proszę cię, odejdz.

– Staram się powiedzieć ci coś bardzo ważnego!

– Do licha, czy mało zepsułaś do tej pory? Chcesz wszystko pogorszyć?

W sekundę później ramiona Roe znów zamykały się wokół niej ze zdwojoną siłą, a jego wargi zaskoczyły ją tak gwałtownym pocałunkiem, że po chwili zaczęło jej brakować powietrza. Zanim zorientowała się, co się stało, już nie pamiętała, co chciała wyjaśnić. Jej dłonie targały włosy Roe, przytulała się do niego, a jej udo wciskało się między jego nogi, co na nowo i jeszcze silniej niż poprzednio rozpalało w nim dziki ogień.

Żadne z nich nie usłyszało otwierających się drzwi, ale do obojga dotarł po chwili głos Milo.

– Gingie? Jesteś tu? O, rany! Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– A niech mnie pokręci! – wykrzyknął Milo. Jego oczy jak zawsze szczelnie skrywały różowe szkiełka okularów.

– Hmm... – odchrząknęła Gingie.

Roe roztropnie powstrzymał się od komentarza.

– Jestem zaszokowany! – Milo pokręcił w zdziwieniu głową. – Tak. Jestem absolutnie zszokowany. Oszołomiony. Zdumiony. Kto by to pomyślał? – Oparł się o framugę drzwi i badawczo im się przyglądał.

Gingie zaczęła się nerwowo krztusić. Roe, oprzytomniawszy, oderwał dłonie od jej ciała, ale nie bardzo wiedział, co z nimi począć. Swobodna poza Milo i ledwo widoczny uśmiezek na jego twarzy świadczyły o tym, że nieźle się bawi. Unikając starannie jego wzroku, Gingie z roztargnieniem rozejrzała się dokoła. Sprawiała wrażenie bardzo zaskoczonej tym, że w ogóle znajduje się w tym pokoju, a w

dodatku w objęciach jakiegoś mężczyzny, z zaplątaną bezwstydnie pomiędzy jego udami nogą i twarzą oblaną rumieńcami podniecenia.

– Drogie dzieci – powiedział Milo jowialnie. – Wybaczcie, że przeszkodziłem, ale czy nie słyszeliście, że dzwoni telefon?

– Telefon? – zapytała Gingie głosem małej dziewczynki. – No, tak. Telefon.

– Kto dzwonił? – rzucił niby to niedbale Roe. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu znajdował się w tak idiotycznej sytuacji.

– Niejaka Whoofie oraz Doktor.

– Czy chodzi o Vince’a i jego operację? – dopytywała się Gingie. Milo opuścił okulary nisko na nos i badawczo się jej przyjrzał. – Wiesz coś o tym?

Odzyskując nagle siły, Gingie poderwała się na równe nogi.

– Roe właśnie mi o wszystkim opowiadał.

– Właśnie to akurat robił przed chwilą? Nigdy bym nie przypuszczał.

– Wiedziałaś o Vinsie i nic mi nie powiedziałaś?

– Gingie zbliżyła się do niego i oskarżycielskim tonem zapytała: – Jak mogłeś to przede mną ukryć?

– Vince zabronił mi mówić ci o tym. Sam bym zresztą nic nie wiedział, gdyby nie to, że mam nosa – bronił się Milo.

– A czy miałaś chociaż zamiar kiedykolwiek mnie o tym poinformować?

Roe wyprostował się na kanapie i wygładził zmiętą koszulę. Przez chwilę miał zamiar wstać, ale doszedł do wniosku, że pozycja siedząca łatwiej zamaskuje jego podniecenie.

– Miałem zamiar powiedzieć ci już po fakcie – wyjaśnił Milo. – Kiedy najgorsze będzie za nami.

– To nie jest w porządku! – wrzasnęła na niego Gingie. – Ja jestem dorosła. Jak śmiesz ukrywać przede mną prawdę, jakbym nie była zdolna niczego zrozumieć?! Mam już po dziurki w nosie tego nieustannego niańczenia!

– Ja... – Milo zerknął nerwowo na Roe, jakby szukał u niego pomocy. Wreszcie powiedział: – No cóż, cholera, przykro mi Gin. My wszyscy zawsze... Sama wiesz.

Zapadło złowróżbne milczenie, po czym Gingie opadła na drewniane krzesło przy biurku.

– Kim są Whoofie i Doktor? – zapytał wreszcie Roe.

– Wokalistka towarzysząca oraz perkusista – odparła Gingie.

– Dlaczego tu zadzwonili? – dopytywał się Roe.

– Są na Sontarze – odparł Milo. – Spóźnili się na prom, ale namówili jakiegoś frajera, żeby ich przewiózł swoją łodzią.

– Prawdopodobnie mojego kuzyna – powiedział ponuro Roe. – Domyślam się, że chcą się tu zatrzymać?

– No cóż, jest jeszcze jedna wolna sypialnia dla Whoofie – oświadczył Milo. – A Doktor mógłby spać na tapczanie w salonie. Jeżeli oczywiście nie masz nic przeciwko temu, Roe.

– Wiesz co? Właściwie możesz mi mówić Prospero – brzmiała nieoczekiwana odpowiedź. Roe uznał, że czasami najlepszym wyjściem jest godnie skapitulować.

–

Rozdział 7

– Czytałeś gazety? – dopytywał się Vince. Połączenie z Nowym Jorkiem było kiepskie i jego głos głucho skrzeczał w słuchawce.

– Ależ skądże. Tego typu prasa tutaj nie dociera. Przecież dobrze o tym wiesz.

– No to pozwól, że zacytuję ci kilka tytułów z dzisiejszego wydania. – Mimo że Vince jeszcze nie doszedł do siebie po operacji, jego głos brzmiał stanowczo i groźnie. – „W życie Gingie wkracza syn marnotrawny znanej włoskiej aktorki” – zaczął. – „Znana gwiazda rocka ukrywa się na Sycylii w towarzystwie tajemniczego mężczyzny”. Musisz wiedzieć, że obydwa nagłówki uzupełnione są uroczymi fotkami, na których Gingie cała w uśmiechach mizdrzy się do ciebie, a dokoła niej kłębi się tłum facetów w mundurach.

Lotnisko, pomyślał Roe.

– Vince, wszystko ci wytlu...

– Nie, nie. Najpierw przeczytam ci mój ulubiony fragmencik – przerwał Vince szyderczo. – „W sekretnym gniazdku na jednej z wysepek Morza Śródziemnego gruchają dwa gołąbki. To Gingie i jej Zaczarowany Książę”. – Jak widzisz, fotoreporterowi nie brakowało wyobraźni.

– Vince, ty nic nie rozu...

– Jak mogłeś do tego dopuścić?! – wybuchnął Vince. – Miałeś ją chronić przed tego typu przygodami!

– Na lotnisku przyplątał się jakiś fotograf.

– I ja mam spokojnie odpoczywać po operacji? – krzyczał Vince. – Jak mogę w ogóle dojść do siebie, kiedy ty pozwalasz Gingie tak szaleć?!

– Szaleć? – odrzekł Roe niecierpliwie. Wyglądało na to, że z wiekiem Vince stawał się prawdziwym tyranem. – Bez przesady. Łowcy sensacji mieli widać kiepski tydzień i nagle trafiła im się gratka. Wielkie rzeczy. Spójrz na to trochę rozsądniej, Vince.

– Ależ Roe, co z ciebie za naiwniak. Chyba nie myślisz, że na tym się skończy? – biadolił Vince.

– Robisz z igły widły. Gingie nie sprawia żadnych kłopotów.

Roe przymknął oczy i zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie jej broni. Tak naprawdę Gingie sprawiała jednak kłopoty. Tyle że nie mógł przyznać do końca racji Vince'owi.

– Daj spokój, Vince. Czy reagujesz tak za każdym razem, gdy coś o niej piszą?

– Kiedy piszą, że dostała nagrodę, pobiła rekord sprzedaży płyt albo przekazała honorarium na cele charytatywne, to wtedy reaguję inaczej. Ale robi mi się niedobrze, gdy piszą, że zrywa kontrakt z wytwórnią, przemycą przez granicę homeopatyczne leki lub pojawia się na zdjęciach w towarzystwie różnych panów.

– Wiesz, co mi to przypomina? – Roe poczuł rosnącą irytację. – Nasze kłótnie o mamę.

– Dobrze, dobrze, racja – westchnął Vince z rezygnacją. – Ale Gingie to zjawisko nie z tej ziemi.

– Zauważyłem – powiedział Roe cierpko. – Dla ciebie będzie jednak lepiej, jeżeli o niej zapomnisz na najbliższe parę tygodni. Nie czytaj, nie oglądaj i nie słuchaj niczego, co mogłoby cię wyprowadzić z równowagi. I nie martw się o Gingie. Zajmę się nią.

Po skończonej rozmowie Roe popatrzył w osłupieniu na odłożoną słuchawkę. Właśnie przed chwilą dobrowolnie pozbył się wyjątkowej okazji wyekspediowania Gingie wraz z całą ferajną do domu. Był sobą zde gustowany. O co mu samemu, do cholery, chodziło? Wcale przecież jej tu nie chciał. Po tym, co wydarzyło się między nimi, wołał raczej, by znikła mu z oczu raz na zawsze.

W całym domu rozbrzmiewał głos Gingie. Whoofie przywiozła na wyspę masę taśm z jej nagraniami i w kółko je puszczała. Roe westchnął ciężko i wyszedł na taras, gdzie siedzieli Whoofie, Doktor oraz Milo. Milo wciągnął oboje muzyków w karcianą rozgrywkę i najwyraźniej wygrywał. Roe podejrzewał tu jakiś szwindel, ale powstrzymał się od komentarzy. Gingie była w wiosce. Powiadomiona przez Roe o tym, że celnicy z Punta Raisi, po sprawdzeniu, wysłali jej medykamenty porannym promem na Sontarę, postanowiła udać się na przystań piechotą. Sandy jej towarzyszył.

Wraz z przybyciem gromady muzyków życie na Sontarze znacznie się zmieniło. Na przykład Maria Sellerio zachowywała się ostatnio dziwnie. Potykała się o własne nogi i zdawała się nie słyszeć tego, co się do niej mówi. Roe musiał powtarzać zadane jej pytanie trzy lub cztery razy. Zauważył, że jej spojrzenie często wędruje w ślad za Sandym.

Zgodnie z tym, co Roe relacjonował Vince'owi, we wsi aż wrzało od plotek. Wszyscy zachodzili w głowę, co też dzieje się w willi i jakie to dzikie orgie wyprawia Gingie wespół ze swoimi długowłosymi kompanami. Poprzedniego dnia Roe wyruszył do wsi, by w spokoju wypić filiżankę cappuccino, a tymczasem zmuszony był znów uspokajać wzburzonych wyspiarzy. Jeżeli wierzyć Vince'owi, myślał gorzko Roe, to samo stałoby się i na bezdrożach delty Okavango, gdyby

któregoś dnia trafiła tam Gingie.

Roe opuścił taras i podążył obrośniętą winoroślami ścieżką w stronę drogi. Gingie i Zu Aspanu wracając z wioski śpiewali razem starą, sycylijską balladę. Gingie po mistrzowsku wydobywała z pieśni jej egzotyczną nutę, a Zu Aspanu ochryple wtórował. Gdy skończyli, dziewczyna roześmiała się, zaczęła bić brawo i obsypywać towarzysza pochwałami.

Na widok Roe, Zu Aspanu jeszcze bardziej się rozpromienił.

– Ta dziewczyna wszystko łapie w lot! – wykrzyknął, pomagając Gingie wysiąść z wozu. – Tylko raz to w całości zaśpiewałem i wszystko od razu zapamiętała. I melodię, i sycylijskie słowa, wszystko!

– Zdumiewające – przyznał Roe. – Jeszcze parę tygodni i będziesz lepsza we włoskim niż ja. – Roe zaczął wypakowywać z wozu paczki z zakupami. – Co to za potężne sprawunki?

– Widzisz? – ożywił się Zu Aspanu. – Ha! Ta dziewczyna nie tylko wykupiła połowę produktów ze wszystkich możliwych sklepików, ale kupiła też sobie dozgonną miłość całej wsi paroma piosenkami!

Roe spojrzał na Gingie ze zdumieniem. Dziewczyna spuściła głowę i postąpiła krok do przodu.

– Pomyślałam, że... Przypomniałam sobie, co mi mówiłeś parę dni temu.

– Cóż ja takiego mówiłem?

– Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli sama naprawię wszystkie nieporozumienia, jakie wywołałam – zaczęła. – Więc gdy zostało jeszcze trochę czasu do odpłynięcia promu, poprosiłam Zu Aspanu, żeby oprowadził mnie po sklepach i...

– Oczarowała wszystkich! – dumnie zawtórował Zu Aspanu, wyładowując kolejne pudła pełne świeżutkich owoców i jarzyn.

– Powiedzieli mi, że tak naprawdę nie przypuszczali, że tu może dziać się coś nieprzyzwoitego. Uważają, że moi przyjaciele są równie sympatyczni jak ja. A ponieważ nie mogłam spacerować po sklepach i nic nie kupić, więc...

– Och, Gingie – roześmiał się Roe. – Jesteś niezłym strategiem. Jak widać, umiesz doskonale zadbać o siebie. – Mówiąc to, zastanawiał się, jak on sam zdołał w to tak szybko uwierzyć.

– Jesteś ze mnie zadowolony?

– Jasne – odparł Roe.

– Wszystko poszło jak z płatka – relacjonował Zu Aspanu.

– Usiedliśmy w kafejce na głównym placu – przejęła pałeczkę Gingie. –

Najstarszy wnuk don Ciecica grał akurat na gitarze, więc zaśpiewałam kilka piosenek I wszyscy słuchali. A potem twój wuj zaczął mnie uczyć sycylijskich pieśni... – Gingie wzruszyła ramionami i znów się uśmiechnęła.

Spojrzeni uważnie po sobie, po czym Roe zapytał:

– A gdzie zgubiliście Sandy’ego? Dziewczyna zmarszczyła ze zdziwienia czoło.

– Powiedział, że musi się z kimś spotkać i niespodziewanie zniknął. Czy to nie dziwne?

– Nie przejmuj się – odparł Roe uspokajająco, widząc jej zatroskanie. – Ta wyspa jest zbyt mała, by się na niej zgubić.

Gdy wszystkie sprawunki zostały wypakowane i ruszyli w stronę domu, Gingie powiedziała:

– Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Ja nie bardzo umiem gotować.

– To dla mnie nie jest żadną niespodzianką – odparł Roe. Przypomniało mu się, co o niej opowiadał Milo.

– Może Maria mogłaby jakoś się tym zająć. Czy jest jeszcze w domu?

– Nie, poszła już. Ale nie przejmuj się, Gingie. Zawsze możemy liczyć na Milo.

Po posiłku wszyscy mieszkańcy willi zdecydowali się na błogą sjęstę. W domu panowała cisza, urozmaicana tylko kojącym szelestem cytrynowych liści, w których igrały promienie popołudniowego słońca. Gingie postanowiła poszukać Roe.

– Tutaj jesteś – wymruczała, odnajdując go wyciągniętego na hamaku, w cieniu figowego drzewa na tarasie.

Przyjrzał się jej spod przymkniętych powiek. Zanim udała się na wieś, poradził jej, by osłoniła jakoś ramiona i nogi. Posłuchała wprawdzie jego rady, ale rezultat był odwrotny do spodziewanego. Miała na sobie czerwoną spódnicę w czarne cętki, która sięgała do połowy ud. By okryć nogi, uzupełniła ją obfita czarna koronka, która była długa do pół łydki, ale tak przezroczysta, że przy każdym ruchu ukazywała ponętny zarys wszystkiego, co było pod spodem. Dopasowana czerwona bluzeczka miała skromny dekolcik i długie rękawy, lecz kończyła się tuż pod piersiami, odsłaniając płaski, nagi brzuch Gingie.

Przez chwilę Roe zastanawiał się, czy warto tłumaczyć dziewczynie, że ten strój nie jest ani trochę mniej szokujący niż poprzednie. Doszedł jednak do

wniosku, że wysiłek będzie daremny. Poza wszystkim wyglądała cudownie. Ostatnie treningi na plaży wyraźnie przysłużyły się jej figurze, pomyślał, nadal przyglądając się jej spod rzęs.

– O czym dumasz? – spytała Gingie.

– Myślałem właśnie o papierosie – skłamał.

– O papierosie? Czy przeszkadza ci to, że Milo pali? Wciąż się z nim o to kłóczę. Roe wzruszył ramionami.

– Mnie to nie przeszkadza. Sam byłem kiedyś zawziętym palaczem.

– Naprawdę? I rzuciłeś palenie?

– Tak. Podczas pobytu w szpitalu w Gaborone, po mojej słynnej przygodzie z hipopotamem. – Uśmiechnął się i zamknął oczy. Upajało go powolne kołysanie hamaka i bliskość dziewczyny. – Postanowiłem nie sięgać więcej po papierosa. Nigdy nie umiałem zachować umiaru w paleniu. Myślę, że to cecha dziedziczna.

– Twój brat rzeczywiście pali jak smok – przyznała Gingie. – Zresztą podobnie jak twój ojciec.

– Znasz mojego ojca? – Roe czujnie otworzył oczy.

– Raz go spotkałam. Uczestniczyliśmy w uroczystości rozdania nagród. Za kulisami zdołał wypalić cztery papierosy w ciągu mniej więcej piętnastu minut.

– Spodobaliście się sobie? – dociekał Roe.

– Och – Gingie zawahała się przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wreszcie zdecydowała się na szczerość. – Przyznam, że był trochę trudny do wytrzymania. Nie gniewasz się, że tak o nim mówię?

– Skądże. Czy źle cię potraktował? – Ta myśl mocno oburzyła Roe. Dziwne, że reagował poruszeniem jeszcze teraz, po tylu latach. Jeżeli Jordan w jakiś sposób obraził Gingie...

– Nie, nie, to nie to. Cieszyłam się, że poznałam taką znakomitość... Od tylu lat jest gwiazdą...

– Jeśli to mu właśnie powiedziałaś, nic dziwnego, że się nie dogadaliście. Jednym z powodów, dla których mnie unika, jest to, że nie chce być posądzany o posiadanie trzydziestoczteroletniego syna.

– Naprawdę? – Gingie była zdumiona. – Przecież powinien być raczej z ciebie dumny!

Roe poczuł się zażenowany i szybko zmienił temat.

– Kiedy już przedstawiliście się sobie, co było potem?

– Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało zarozumiale. Roe, ale na parę tygodni przed spotkaniem twój ojciec dostał właśnie swoją czwartą nagrodę Grammy.

Miałam już na koncie platynowy album i tytuł wokalistki roku. Tymczasem on potraktował mnie jak smarkulę, jak młodocianą wielbicielek swojego talentu, która marzy, by go poznać. Może brzmi to złośliwie, Roe, ale jak na gwiazdora, który od dziesięciu lat nie wystąpił nigdzie poza Los Angeles, twój ojciec zachowywał się niestosownie.

– Mogłabyś mieć dla niego więcej litości.

– Nic takiego przecież nie powiedziałam mu w oczy. chociaż aż się prosił – zaprotestowała. – I może nie powinnam tego mówić tobie. Wciąż was krytykuję. Jak nie twojego brata, to znów twojego ojca. Myślisz pewnie, że jestem straszną wiedźmą.

Roe odchrząknął i pogłaskał ją po głowie.

– Och, Gingie. O tobie nie można myśleć w ten sposób. Samouwielbienie to od lat dominująca cecha mojego ojca. Śmiertelnie boi się każdej kobiety, która sprawia wrażenie bardziej niż on zwycięskiej czy utalentowanej. Dzisiaj wydaje mi się, że właśnie ta cecha zaważyła na jego stosunku do matki. Ona przerastała go talentem, co dla wszystkich było oczywiste. Nie mógł tego znieść, chociaż biedaczka robiła wszystko, żeby tak nie myślał.

– Jaka szkoda – westchnęła Gingie. – Jak mógł wymagać od niej, by była kimś innym?

Roe kołysał się leniwie na hamaku. Jego ramię ocierało się o Gingie.

– Musisz mi pomóc – powiedziała nagle z desperacją w głosie.

– O co chodzi? – zapytał łagodnie.

– Mam kłopot – rzekła cicho. – Muszę z kimś o tym porozmawiać.

– Czy chodzi o Vince'a? – próbował zgadnąć. Ale Gingie zaprzeczyła. – A więc, w czym problem?

– Zastanawiam się, czy powinnam pójść z tobą do łóżka – oświadczyła.

Roe gwałtownie wychylił się z hamaka. Miał przez sekundę nadzieję, że zdoła uniknąć upadku. Jednak po chwili spadł na ziemię całym ciężarem ciała.

– Ach, Roe! – Gingie już była przy nim i obmacywała jego kości, szukając pęknięć i potłuczeń.

– Nic ci się nie stało?

– Nie dotykaj – wycedził Roe przez zaciśnięte zęby.

– Chcę się tylko upewnić, że...

– Wszystkie moje organy funkcjonują bez zarzutu, bądź spokojna – wysapał.

– Ale wylądowałaś na ostrej krawędzi tego kamienia...

– Cholera, cholera, cholera! – Skręcając się z bólu, Roe podniósł się z ziemi i

ostrożnie usiadł, opierając plecy o pień drzewa.

– Jesteś zupełnie zielony – powiedziała Gingie.

– To minie. – Roe westchnął głęboko. – Nie powinnaś narażać mnie na takie wstrząsy. Nie jestem już młodzikim.

– Przepraszam – odpowiedziała pokornie. – Po prostu chciałam być szczerą.

– Więc oczekujesz ode mnie, że pomogę ci podjąć decyzję co do naszego pójścia do łóżka? – spytał.

– Chciałabym po prostu o tym pomówić, a z nikim innym nie mogę.

Roe gapił się na nią oszołomiony, zastanawiając się, czy w tym wszystkim jest choć odrobina sensu.

– To dla mnie bardzo ważna decyzja – dodała.

– Doprawdy?

– Bo widzisz... – Gingie oblizwała nerwowo usta.

– Zawsze byłam bardzo wstrzemięźliwa...

Roe ucieszył się, że w tym momencie ma pod sobą twardy grunt.

– Słucham?!

– To nieodłączna część mojego reżimu – ciągnęła Gingie. – Codziennie przez dwie godziny ćwiczę, staram się prawidłowo jeść, nie piję i nie palę, nie biorę żadnych proszków, a przynajmniej raz w tygodniu idę do sauny i biorę masaż. I ja nie... – Zamilkła i zaczęła wykonywać jakieś nieokreślone gesty.

– Nie uprawiasz seksu? – Zapytał z niedowierzaniem.

– Właśnie to chciałam powiedzieć – bąknęła, zadowolona z tego, że wreszcie sam się domyślił sensu jej słów. – No więc...

– Zaraz, zaraz – przerwał Roe podenerwowany. – Chyba sobie ze mnie żartujesz.

– Ależ nie, skądże!

– Gingie, przecież nawet tutaj towarzyszą ci dwaj mężczyźni, którzy przejechali specjalnie dla ciebie pięć tysięcy mil. Wszyscy wiedzą, że Milo mieszka razem z tobą. Sam mi o tym mówił.

– Zgadza się, mieszka. Ale to jeszcze nic nie znaczy. I nie podejrzewałam akurat ciebie o to, że słuchasz plotek i wyciągasz z nich pochopne wnioski.

– Ja nie... – westchnął. – No, mniejsza z tym.

– Nawet gdybym nie hołdowała wszystkim swoim zasadom tak konsekwentnie i tak nie sypiałabym z Milo. Bardzo go kocham, to prawda, ale on traktuje kobiety niezmiernie surowo.

– Naprawdę? – zapytał Roe bez przekonania.

– Dwanaście lat temu rozstał się z moją siostrą tylko z powodu drobnych nieporozumień na tle politycznym. A poza tym już trzy razy się rozwodził i zostawił po sobie sporo bałaganu...

– Zupełnie jakby był członkiem mojej rodziny.

– Pokiwał głową. – A dlaczego z tobą mieszka?

– Nie ma dokąd pójść. Jest kompletnie spłukany.

– Jak to możliwe? – nie dowierzał Roe. – Współpracuje przecież z najlepiej prosperującą wykonawczynią w amerykańskim show-biznesie.

– Ale wypłaca alimenty swoim dwóm byłym żonom, a trzecia obeszła się z nim szczególnie bezwzględnie. Poza tym pewna dama zaskarżyła go do sądu za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Milo wprawdzie twierdzi, że nigdy niczego nie obiecywał, ale...

– Mniejsza z tym – przerwał znużonym głosem.

– Wiem z grubsza, o co chodzi. A zatem przygarnęłaś go?

– No właśnie. Camilla, która wykłada na Columbii, mieszkała akurat ze mną, ale nie mogli dojść do porozumienia. Więc się wyprowadziła i teraz mieszka z nami Letycja.

– Homeopatką?

– No właśnie. Och, przypomniałam sobie, że mam jeszcze jedną niezłomną zasadę.

– Jaką? – zapytał Roe z rezerwą.

– Nie biorę żadnych antybiotyków ani środków przeciwbólowych. Letycja mówi, że...

– Dajmy temu spokój, Gingie. – Roe poruszył się ostrożnie i stwierdził z ulgą, że ból minął. – A Sandy?

– Sandy? Jeszcze parę lat temu był nieśmiałym chłopaczkiem pracującym w sklepie spożywczym u swojego ojca w Oregonie. Śpiewał w miejscowym klubie. Kiedyś usłyszał go tam impresario, podpisał z nim kontrakt i zaczął go lansować. I w ciągu pół roku Sandy został gwiazdą numer jeden. Tysiące kobiet zaczęły wycierać pożądaniami na jego widok i rzucać się mu pod nogi, gdziekolwiek się pojawił. To go chyba trochę rozstroiło.

– Jak go poznałaś?

– Jego menażer poprosił mnie, żebym poszła z nim na przyjęcie Rolling Stonesów, bo nie chciał tam iść sam – Gingie wzruszyła ramionami. – W moim towarzystwie czuje się bezpieczniej. A poza tym ma teraz trudny okres w życiu. Ludzie zwykle zazdroszczą innym kariery, a nie zdają sobie sprawy z tego, jaki to

może być ciężar.

– Wiem coś o tym.

– No właśnie. Twoja matka nie umiała się do tego przyzwyczaić, prawda? Biedny Sandy nie miał jeszcze dziewiętnastu lat, a już nie mógł chodzić spokojnie po żadnej z ulic Ameryki, bo setki kobiet czyhały, by na nim podrzeć ubranie. Ze dwa tuziny reporterów praktycznie mieszkają tuż za progiem jego domu.

– Ale na scenie zachowuje się jak wariat.

– To tylko jego sceniczna maska.

– A co z tobą? – zapytał Roe po chwili. – Czy tobie to wszystko nie przeszkadza?

Gingie zastanowiła się przez chwilę.

– Właściwie nie. Przez osiem lat wspinałam się na szczyt. Dokładnie wiedziałam, w jakim kierunku zmierzam. Nigdy nie dbałam o to, co mówią o mnie ludzie. Liczyła się tylko muzyka.

– Musiało to być osiem naprawdę ciężkich lat – powiedział Roe.

– To prawda. Ale przez cały czas wiedziałam, że jest tylko jedna rzecz na świecie, którą potrafię robić, więc praktycznie nie miałam wyboru. Chciałam, żeby cały świat słuchał moich piosenek. Chciałam być sławna i chciałam, żeby mi to ciążyło... – Gingie wzruszyła ramionami. – Takie życie skazuje cię na samotność, aleja nie narzekam. Mam rodzinę, przyjaciół, kapelę... Przyzwyczałam się.

– Gdy przez cały czas jest się w drodze, nie można z nikim się związać – rzekł Roe.

– To prawda. A w dodatku nigdy nie pragnęłam przygód, które trwałyby jedną noc, czy przypadkowych spotkań w anonimowych hotelikach. Zawsze obchodziła mnie tylko i wyłącznie moja praca.

– Ale teraz jesteś już na szczycie, Gingie.

– I wcale nie przestałam harować. Nie bardzo wiem, komu mogę zaufać. Większość mężczyzn widzi we mnie symbol seksu. To okropne.

– Od jak dawna jesteś wstrzeźliwa w sprawach seksu?

– Od trzydziestu jeden lat.

– Co?! – Roe aż podskoczył na miejscu. – Ty... Chcesz powiedzieć, że nigdy... Że jesteś... – wreszcie zdołał wykrztusić – jesteś dziewicą?

Kiedy skromnie przytaknęła, Roe wykrzyknął:

– Ależ Gingie, przecież to niemożliwe!

– Ale tak właśnie jest.

– Przecież ty... Ty jesteś... To po prostu nie... – oparł czoło o pień drzewa i

próbował uporządkować chaotycznie kłębiące się w jego głowie myśli. – Jesteś najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką w życiu poznałem. Jak w ogóle mogło dojść do tego, że... Jakim cudem ty mogłaś...

– Całą moją energię seksualną ulokowałam w pracy – wyjaśniła Gingie rzeczowo.

– Żartujesz sobie ze mnie. – Spojrzał na nią badawczo. – Nie, ty nie żartujesz – skapitulował po chwili.

– Ty mówisz serio.

– Oczywiście, że mówię serio. Problem polega na tym, że...

– Ja wiem, na czym polega problem – przerwał Roe.

– Wiesz? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Nasze ciała od pierwszej chwili uległy sile wzajemnego przyciągania, a ty nie wiedziałaś, co z tym począć. Myślałem, że... Mniejsza z tym, co sobie myślałem, to teraz nie ma znaczenia.

– Ale co my zrobimy? Ty jesteś znacznie bardziej doświadczony.

Roe nagle zapragnął zaciągnąć się papierosem, łyknąć trochę whisky i zrobić jeszcze parę innych rzeczy, które, jak mu się wydawało, zarzucił na zawsze. Co też się z nim działo?

– Chciałbym zrobić jedno. Natychmiast zaciągnąć cię do łóżka i kochać się z tobą do utraty tchu. – Widząc, że te słowa wywołały na twarzy Gingie ognisty rumieniec, dodał: – Ale powinienem zrobić coś innego. Raz na zawsze pozbyć się ciebie stąd. Ponieważ jednak obiecałem Vince'owi, że się tobą zajmę, nie zrobię tego. Natomiast proponuję, żebyśmy sobie od dziś nie wchodzili w drogę. Zrozumiałaś?

– Ale, Roe...

– Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest utrata snu i spokoju z powodu jakiejś gwiazdy rocka, która w dodatku okazuje się być zatwardziałą dziewicą. Mam dość innych kłopotów w życiu, Gingie. Jasne?

– Ale ja...

– Świetnie. – Roe wstał i odszedł nie oglądając się na Gingie. Dotarł do plaży, zrzucił ubranie, po czym dał nura w morskie fale. Miał cichą nadzieję, że lodowata woda ugasi choć jeden jego palący problem, przynajmniej na jakiś czas.

–

Rozdział 8

– Mógłbyś się w końcu poddać. Roe. – Milo westchnął boleśnie. – Znam Gingie od dziewiętnastego roku życia, a nigdy nie widziałem, żeby zachowywała się w ten sposób. Widziałeś, jak wczoraj ledwo tknęła swój posiłek?

Zazwyczaj pusta i odludna plaża była dzisiaj pełna plażowiczów. Wylegiwali się na niej Roe, Milo, Sandy, Whoofie, Doktor, a także Gaspare wraz z całą kompanią nastolatków, którzy wymusili na nim, by ich tu przyprowadził. Na falach oceanu kołysała się łódź. Jak fachowo spostrzegł Roe, na jej pokładzie znajdowali się albo fotoreporterzy, albo tylko fani rocka, kimkolwiek jednak byli, bacznie obserwowali przez lornetki towarzystwo na plaży.

Nie było wśród nich Gingie, która udała się do wsi, by udzielić wywiadu jakiejś amerykańskiej dziennikarce.

– Ledwo tknęła? – powtórzył zdumiony Roe. – Pochłonęła tyle, co zawodnik rugby po meczu.

– No właśnie! A zazwyczaj jada tyle, co trzech robotników portowych naraz. Kiedy nie ma ciebie w pobliżu, jest melancholijna, a kiedy jesteś, wygląda żałośnie. Spójrz prawdzie w oczy, Prospero Hunter. Zaprzepaściłeś ostatnią swoją szansę na spokój w tej samej chwili, w której pozwoliłeś tej dziewczynie zakochać się w sobie.

– Ja jej nie poz... Ona wcale... – Roe machnął wreszcie ręką i położył się na kocu. Zasłonił twarz – otwartą książką i oświadczył: – Milo, nie odzywaj się do mnie już więcej dzisiaj. Wpędzasz mnie w depresję.

– Za późno, Roe – odparł Milo z nutką wesołości w głosie. – Zobacz, kto wrócił.

Roe uniósł książkę i dostrzegł Gingie pokonującą właśnie ostatnie stopnie schodów w drodze na plażę.

– Roe! – wykrzyknęła Gingie. – Wpadłam na świetny pomysł! – Przycupnęła tuż przy nim.

– Cześć, Gingie – powiedział Milo.

– Co? A, Milo! Cześć! – odpowiedziała z roztargnieniem, wpatrując się zarazem w Roe, co tego ostatniego dość rozstrajało.

– Jak się udał wywiad? – zapytał czując pustkę w głowie.

– Wywiad? Doskonale! – Gingie nadal wędrowała wzrokiem po jego twarzy, barczystych ramionach i opalonych długich nogach.

– Jaki to masz świetny pomysł, Gin? – zapytał Milo.

– Hmm, no cóż, postanowiłam, że najwyższy czas dopomóc świętej Cecylii.

– Ale ta biedaczka już od jakiegoś czasu nie żyje, kochanie – odparł Milo. –

Nieco się spóźniłaś.

– Jak zwykle nic nie rozumiesz, Milo. Po wywiadzie poszliśmy razem z Casey, tą dziennikarką, rzucić okiem na kościół. Myślałam najpierw, że może warto, by napisała jakiś artykuł o tym, jak wspaniały zabytek obraca się w ruinę. Ale potem wpadliśmy na jeszcze lepszy pomysł. Powiedziałam Casey, jak bardzo się wzruszyłam historią Cecylii i że już prawie kończę piosenkę jej poświęconą.

– Doprawdy? – Roe usiadł, przysłuchując się z zainteresowaniem.

Gingie przytaknęła, a Milo dodał:

– Tak, nawet dała mi wczoraj posłuchać. Nieźle.

– No więc Casey mi powiedziała, że mogę nagrać singel z tą piosenką, a dochód przeznaczyć na odrestaurowanie kościółka.

– Dobry pomysł – rzekł Roe. Był mile zaskoczony tym, że Gingie ma ochotę zrobić cokolwiek dla wyspy i ludzi, którzy na niej mieszkają.

– A potem, kiedy już tutaj wracaliśmy razem z Zu Aspanu i oglądaliśmy wszystkie te piękne widoki, to pomyślałam sobie... – Gingie mówiła z rosnącym entuzjazmem – pomyślałam, że moglibyśmy nakręcić teledysk do tej piosenki, właśnie tutaj. A w dodatku moglibyśmy zrobić to teraz! Już!

– Teledysk? – powtórzył Roe. – Ale...

– Wszystko już obmyśliłam – przerwała mu dziewczyna. – Oczywiście postsynchrony, nagranie i dokrętki zrobimy dopiero w Nowym Jorku, ale bardzo dużo możemy zrobić już tu!

– Gingie... – zaczął i znowu nie zdołał skończyć.

– Twój wuj jako były operator na pewno nam pomoże. I pomoże też z pewnością Gaspare. – Gingie poszukała wzrokiem drzemiącego na słońcu chłopaka.

– On wiele wie o obsłudze kamery i różnych szczegółach technicznych.

– Nie wydaje mi się, żeby...

– A ty możesz się zająć stroną organizacyjną, Roe.

– Nie znam się co prawda na tych sprawach, ale chyba będziemy musieli uzyskać od władz pozwolenie na kręcenie zdjęć na Sontarze. Musimy też koniecznie pomówić z kimś z kościoła. Może z proboszczem? Poza tym trzeba zdobyć jakiś sprzęt i pozalać formalności...

– Gingie, to nie ma sensu. – Słowa wypowiedziane przez Roe podziałały na nią

jak kubek zimnej wody.

Spojrzała na niego niepewnie, jakby liczyła na to, że się przesłyszała.

– Proszę?

Roe rozłożył ręce w geście bezradności.

– Twoje przesłanki są szlachetne i pomysł nagrania tej piosenki również, ale nakręcenie teledysku na Sontarze... – Roe pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Ale dlaczego? – Gingie wyglądała żałośnie.

– Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile problemów pociąga za sobą tego typu przedsięwzięcie.

– Zrobiłam już wiele teledysków – zaproponowała żarliwie.

– Ale to Vince wszystko organizował, dopinał detale i zajmował się produkcją. Ty tylko... – Trochę za późno ugryzł się w język. Czuł, że przeholował.

– Ja tylko fikałam nóżkami i dawałam głos, jak głupia lalka, prawda? – dokończyła Gingie.

– Ja tego nie powiedziałem...

– Owszem, powiedziałeś. Mój przyjaciel, Luke Swain, zdołał zebrać setki tysięcy dla bezdomnych, ale ja nie jestem w stanie zdobyć nawet groszy potrzebnych dla odrestaurowania jednego małego kościółka!

– Nie powiedziałem tego...

– Powiedziałeś!

– Miałem na myśli tylko to, że... Cholera.

– Roe, proszę... To jest dla mnie takie ważne. Ja muszę to zrobić. Muszę wreszcie wykorzystać swój talent do czegoś konkretnego. Chcę komuś pomóc i muszę zrobić w końcu coś bez pomocy Vince'a. On zawsze stara się mi wmówić, że bez niego nie dam rady. Prawdopodobnie w to wierzy, ale ja muszę się przekonać, czy tak jest naprawdę.

Roe pomyślał z żalem, że Sontara zmieni się jeszcze bardziej, gdy gwiazda muzyki pop rozpocznie tu zdjęcia do videoclipu. A jednak ze zdziwieniem musiał przyznać, że nie potrafi powiedzieć „nie”.

– No dobrze – westchnął z rezygnacją. – Możemy spróbować.

Gingie roześmiała się z ulgą i zarzuciła mu ręce na szyję. Opadła obok niego na koc.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć!

Roe poczuł tuż przy sobie jej rozgrzane słońcem ciało i piersi, ocierające się o jego tors. Przepeliła go czułość i chęć uczynienia wszystkiego, czego tylko ona może zapragnąć. Nawet rzeczy niemożliwych.

Wśliznął dłoń pod zakieciak i pogłaskał jedwabną skórę jej pleców.

– Tobie nie sposób powiedzieć „nie”, Gingie – przyznał z uśmiechem.

– No a co powiemy Vince’owi, drogie dzieci? – Tym pytaniem Milo przypomniał im o swoim istnieniu.

– Hmm... No, tak! – Gingie usiadła i obciągnęła sztruksowe wdzianko. Roe cofnął dłoń i podłożył ją sobie pod głowę. – Cóż, może...

– Vince’a biorę na siebie. – Zanim Gingie otworzyła usta, by zaprotestować, Roe dodał: – To w końcu mój brat i wiem, jak z nim postępować. – Zauważył z ulgą, że Gingie przystaje na tę propozycję. Wieść o tym, co planuje ta dziewczyna, mogła zakłócić rekonwalescencję Vince’a. Lepiej było urządzić to tak, by usłyszał nowinę w złagodzonej formie od brata niż od Gingie.

– Trzeba to uczcić – postanowił Milo. – Czy nie wybralibyśmy się gdzieś dziś wieczorem?

– Na Sontarze? – zapytał Roe powątpiewająco.

– No wiesz, możemy się elegancko odziać, wypróbować tę drugą gospodę i może namówić don Ciecica, żeby nam zafundował rajd swoim pojazdem do gry w golfa.

Roe uśmiechnął się.

– Szerokiej drogi, kochani. Ja zostaję w domu, żeby zażyć ciszy i spokoju.

– Ale bez ciebie nie będzie zabawy – próbowała protestować Gingie.

– Bardzo jesteś miła, Gin – mruknął Milo.

– Was przecież mam na co dzień – wyjaśniła.

– Dobrze ci zrobi, jeśli trochę przejdiesz się wieczorem – odparował Milo. – Wyglądasz jakoś mizernie i blade.

– Naprawdę? – To na nią podziałało. – Pewnie dlatego, że nie wypłam dzisiaj wywaru z malinowych liści. Zaraz sobie go zaparzę. – Poderwała się z koca i oddaliła pospiesznie.

Przez chwilę patrzyli obaj w ślad za nią, aż wreszcie odezwał się Milo:

– Mówię ci, stary. Poddaj ty się wreszcie...

Tego wieczoru przy długim wspólnym stole zebrała się niemal cała wieś. Cała oprócz Roe. Niestety, jego nieobecność psuła wszystko. Na szczęście Gingie posadzono między Marią a Sandym, więc nie musiała się zbyt często odzywać. Tamci oboje uwielbiali milczeć.

– Gingie! – zakrzyknął Milo z drugiego końca stołu. – Zostajesz w tyle! Spróbuj trochę *involtini*. To prawdziwa rewelacja.

Dziewczyna przełknęła parę kąsków i odłożyła na bok widelec.

– Gorąco tu – powiedziała do Sandy’ego. – Pójdę się przejść. Powiedz wszystkim, żeby się nie martwili, że na chwilę znikam.

Chyba po raz pierwszy w życiu Sandy nie wyglądał na przerażonego perspektywą jej zniknięcia. Przesłał jej nawet porozumiewawczy uśmiech.

Gingie wyszła z gospody i zanurzyła się w rozgwieżdżoną noc. Wieczory na Sontarze były orzeźwiająco chłodne, lecz w swojej cienkiej sukience bez rękawów nie czuła zimna. Powiewał ciepły, kojący wiatr. Roe mówił, że wiatr ten wieje z nad Sahary i że nazywa się *sirocco*. Ten człowiek nawet wiatrowi potrafił nadać romantyczną nazwę.

Gingie westchnęła głęboko. Czego też oczekuje od niej Roe? Wielokrotnie wyczuwała w nim pragnienie, ale zarazem jakąś ostrożność i czujność. Był inteligentny, doświadczony i wiele rzeczy rozumiał. Czy ktoś taki jak on mógł w ogóle zawracać sobie głowę osobą tak głupią i naiwną jak Gingie?

Zadarła głowę i przyjrzała się ciemnym konturom kościelnej wieży, obrysowanym księżycową poświatą.

– Święta Cecyljo – westchnęła. – Pomogę ci, a ty w zamian dopomóż mnie, proszę. Powiedz, co mam robić?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi. Widać decyzja była tak trudna do podjęcia, że tylko ona sama mogła się z nią uporać.

Wreszcie zdecydowała. Nie było innej możliwości. To, co działo się między nią a Roe, zżerało ją od wewnątrz, rozpraszało, pozbawiało energii i apetytu.

Ta wiosna miała się najwyraźniej stać okresem przełomowym w jej życiu i musiała uczynić ten pierwszy, ważny krok. Przemierzywszy w ciągu pół godziny labirynt wiejskich uliczek, znów znalazła się przed gospodą i bez pytania zabrała rower Gaspare. Chłopak mógł wrócić do domu wozem Zu Aspanu. Wiedziała, że nie będzie się martwić utratą pojazdu. Wiedziała też, że Milo natychmiast domyśli się, o co chodzi i jakoś to chłopcu wytłumaczy.

Roe stał na tarasie i wpatrywał się w księżyc. Od wielu dni marzył o kilku godzinach spokoju we własnym domu. Teraz, gdy się tego doczekał, po raz pierwszy od lat nie był w stanie się cieszyć błogą samotnością. Brakowało mu Gingie.

Pomyślał, że niepotrzebnie się umartwia i że jego namiętność do osoby, która żyje w niezłomnym celibacie, to sprawa beznadziejna. Włączył magnetofon. Tęskny, kuszący, wibrujący głos Gingie przeszył ciemność. „Obym go

zapomniała” było przez długi czas na liście czterdziestu najlepszych piosenek. Na dźwięk tej melodii niejednego mężczyznę przenikał dreszcz, niejeden miał ochotę odpowiedzieć na to tęskne zawołanie. Po niej popłynęły dźwięki „Ostatniej nocy w Rio”, lecz nagle ktoś wyłączył magnetofon. Roe odwrócił się gwałtownie.

– Nie mogę już słuchać samej siebie – powiedziała Gingie.

W krótkiej złocistoczarnej sukience wyglądała oszalamiająco.

– Gdzie reszta? – zapytał.

– Jedzą kolację. Ja nie byłam głodna. – Gingie zbliżyła się do stojącego przy balustradzie Roe.

– T y nie byłaś głodna? A cóż to się stało? Zmarszczyła brwi patrząc w dal na morze.

– Nic się nie stało. To ty... Przez ciebie. Roe poczuł, jak robi mu się gorąco.

– Czy nikt ci nie mówił, że czasami niedobrze jest być zbyt szczerym?

– To moja zasada. Nie kłamać. Nie słuchać plotek. Znać i mówić tylko prawdę – powiedziała pewnym głosem.

Słowa te zrobiły na Roe duże wrażenie. Jak mógł brać tę dziewczynę za głupiutką gwiazdę? Zapatrzył się w morze. Każda komórka jego ciała boleśnie odczuwała jej bliskość.

– Gingie, umówiliśmy się, że.... Powiedz mi, co ty tu robisz sama? W dodatku w tej sukience?

Kojąca bryza rozwiewała jasne, pokręcone kosmyki jej włosów. Przyniosła do ich nozdrzy zapach jaśminu, rozmarynu i cytrynowych krzewów.

– Przyszłam tu, żeby złożyć ofiarę z mojego dziewictwa – oświadczyła patetycznie.

Roe wziął głęboki oddech i Gingie pomyślała, że to dobry znak.

– Może raczej chcesz przyjąć ofiarę z mojej cierpliwości? – zapytał.

– O niczym innym nie jestem w stanie myśleć, Roe.

– Odwróciła ku niemu twarz. Jej serce biło gwałtownie na widok jego oświetlonych księżycem, kruczoczarnych włosów. Był czujny i usztyniony, jakby oczekiwał z jej strony jakiegoś ataku. – Pierwszy raz w życiu przeżywam coś takiego. Nikt nigdy dotąd nie wprowadził mnie w taki stan... – Gdy nie doczekała się odpowiedzi, ciągnęła dalej: – Jest mi gorąco, a zarazem się trzęsę, jestem jednocześnie melancholijna i roztargniona, smutna i szczęśliwa... Czuję głód, ale jedzenie staje mi w gardle. Myślę o tobie czasami przez całą noc, o tym, że cię dotykam, o tym, w jaki sposób ty dotykałeś mnie tamtego dnia...

– Przestań!

Spojrzała na niego zaskoczona. Jego głos zabrzmiał tak ostro i surowo, jakby go czymś zraniła.

– Nie mogę przestać – odpowiedziała.

Dłonie Roe zacisnęły się na poręczy balustrady. Jego mięśnie były napięte jak struny, a oddech stawał się coraz szybszy.

– Lepiej idź już do siebie.

– Nie! Powiedziałam ci już. Przemyślałam wszystko.

– Oblizwała wyschnięte wargi. – Chcę ciebie. Dlatego tu jestem. Czy ty mnie już nie chcesz, Roe?

Kiedy martwo spoglądał w przestrzeń, Gingie poczuła się boleśnie upokorzona. Teraz, kiedy przekroczyła swój kobiecy Rubikon i gotowa była zaryzykować wszystko, on po prostu ją odtrącał.

– No cóż, najwyraźniej się pomyliłam – powiedziała drżącym, załamującym się głosem. Westchnęła głęboko, starając się nie rozplakać. – Myślałam, że się ucieszysz. Że, podobnie jak ja, tego chcesz. Ale powinnam była wiedzieć, że po prostu do ciebie nie pasuję.

– Gingie, to nieprawda. – Zbliżył się do niej, lecz ona zareagowała gwałtownie.

– Mam trzydzieści jeden lat! I kiedy po raz pierwszy w życiu chcę... Kiedy po raz pierwszy spotykam mężczyznę, który... Którego naprawdę... – Przełknęła z trudem ślinę i kontynuowała: – Jestem za chuda i mam za szerokie biodra... Jestem głupia, naiwna i wszystkim sprawiam kłopoty...

– Co?!

Teraz Gingie rozziewając łkała.

– A w dodatku jestem... Jestem biała jak jakaś zdechła ryba!

– Oj, Gingie, Gingie... – Po chwili była już w jego ramionach. Przytulił do piersi jej skołataną głowę i gładził zmierzwiłone włosy. – Czy ty naprawdę tak myślisz?

– Czasami... – przyznała pochlipując.

– Nie wiem, w jaki sposób zdołałaś nabić sobie głowę takimi głupotami... – Przesuwał dłoń po jej biodrach i nagle mocno przycisnął je do swoich. – Czujesz to?

– Czuję... – Zdziwiona straciła na chwilę oddech.

– Płonę w ten sposób od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Jesteś najseksowniejszą, najśliczniejszą i najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. I to jest cały problem, Gingie. Czy byłbym, twoim zdaniem, taki markotny i sztywny, gdyby nie to, że całą energię koncentruję tylko na tym,

żeby nie zwariować na twoim punkcie?

Spojrzała mu w oczy.

– Ale dlaczego? Po co? Przecież już nie musisz...

Westchnął i pogłaskał jej policzek.

– Nie ty jedna przewracałaś się nocą na łóżku i zastanawiałaś, jak by to było między nami...

– No więc nie bądź już dłużej taki niezłomny – naciskała. – Przestań walczyć ze sobą. Weź mnie w jakieś miejsce, gdzie będziemy sami.

Roe skłonił ku niej głowę.

– Czy mógłbym czegokolwiek ci kiedyś odmówić?

– powiedział i ich wargi się spotkały.

Usta Roe były ciepłe i wilgotne, delikatne i miękkie. Dotykały jej ust z taką wprawą i zapamiętaniem, że poczuła, jak traci oddech i siły. Odpowiedziała mu pocałunkiem, w którym było więcej entuzjazmu niż doświadczenia. Jego ramiona coraz ciaśniej się wokół niej zamykały.

– Nie tutaj – wyszeptał. – Pójdziemy do tamtego domku.

Roe uniósł ją i zaczął nieść alejką w stronę chaty.

– Czy ty mówiłaś przypadkiem, że jesteś chuda?

– zapytał, z trudem łapiąc oddech.

– Jestem dość ciężka, wiem o tym. To dlatego, że jestem wysoka. Postaw mnie lepiej, bo...

– Nie, potrzebuję trochę treningu – odparł.

Gdy wreszcie dobrnęli do domku, przeniósł ją przez próg i zamknął drzwi silnym kopniakiem. Wnętrze urządzone było z surową prostotą. Duża sypialnia i salon zastawiony kilkoma drewnianymi meblami. Księżycowa poświata zaglądała do pokoju przez otwarte okienko i wydobywała z mroku kształt masywnego łóża.

– Och... – jęknęła Gingie, gdy Roe postawił ją w końcu na podłodze.

– Jakieś wahania? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała niezbyt pewnie. Uśmiechnął się tym swoim kuszącym, niebezpiecznym uśmiechem, który przyprawiał ją o żywsze bicie serca. Potargał pieszczotliwie jej włosy i mruknął czule:

– Postaram się być bardzo delikatny, ale czasami to trochę boli za pierwszym razem.

– Wiem o tym.

Jego palce wędrowały po jej szyi.

– Tak? Skąd ty wiesz tak dużo? – mruczał cicho.

– Nie jestem wprawdzie doświadczona, ale nie jestem też tak strasznie naiwna – wyjaśniła. – Czyżbyś nie słuchał moich piosenek?

Pieścił jej nagie ramiona ciepłym, masującym dotykiem. Pochylił głowę i dotknął wargami jej skóry.

– Zastanawiałem się... – powiedział po chwili.

– Nad czym?

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało grubiańsko, ale... Jak zdołałaś pozostać do tej pory dziewicą?

– Oj, Roe. Ja byłem okropnie nieciekawą nastolatką.

– No wiesz, wszystkie nastolatki są trochę surowe, ale...

– Nie, nie rozumiesz. Ja byłem cienka jak zapalka, niezdarna i bezkształtna. Nie zaokrągliłam się ani odrobinę do osiemnastego roku życia. Wszystkie dziewczyny nabierały latem różnych odcieni opalenizny, a ja pozostawałam biała jak...

– Czy ktoś ci to powiedział? – spytał Roe, wyczuwając w jej głosie żalną skargę. Gdy przytaknęła, poklepał ją po plecach zastanawiając się, w jaki sposób mógłby zagłuszyć ten odzywający się w niej po latach ból. Któż mógłby pomyśleć, że ta dziewczyna wciąż ma się za tamtą nieładną niezdarę?

– Miałam przy tym szare, matowe, mysie włosy i nikt, ale to nikt na świecie nawet na mnie nie spojrział – ciągnęła smutną opowieść, a jej dłonie na samo wspomnienie zaciskały się w pięści ponad jego ramieniem. – A więc i ty z całą pewnością nawet byś na mnie nie spojrział piętnaście lat temu.

Pomyślał, że chyba ma rację. W wieku lat dziewiętnastu starał się raczej, przynajmniej we własnym mniemaniu, żyć pełnią życia. Między strumieniem używek przepływającym przez jego żyły, a strumieniem kobiet przepływających przez jego sypialnię, trudno pewnie przysłoby mu zauważyć niezdarną nastolatkę, której kiełkująca uroda i wciąż jeszcze nie odkryty talent nie przykuwały uwagi otoczenia.

– Liczy się to, jaka jesteś dzisiaj – przekonywał Gingie. – Przez cały czas ci się przyglądam, także wtedy, kiedy tego nie widzisz. I nie jestem w stanie oderwać od ciebie wzroku, odkąd tylko się tu pojawiłaś.

– Naprawdę? – Spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę. – Delikatnie mierzwił jej jasne włosy.

– Więc to nie jest twój naturalny kolor? – Gdy przyznała, że nie, dodał: – A powinien być. Idealnie ci pasuje. Kiedy się na niego zdecydowałaś?

– Jakieś osiem lat temu. Przedtem wypróbowałam kilka innych. Czerwony, czarny, różowy, zielony...

– Co?

– To były czasy mody punkowej – wyjaśniła. – Ty, w buszu, pewnie nawet o tym nie wiedziałeś.

– Co nieco kojarzę. Próbuję też sobie ciebie wyobrazić w różowo-zielonej fryzurze – ironizował.

– Przez cały rok Vince mnie błagał, żebym zmieniła kolor włosów, aż wreszcie ustąpiłam. Poza nim, wszystkim się raczej podobałam, nawet mamie.

Roe leciutko ucałował jej usta.

– Cała reszta jest już chyba naturalna.

– Raczej tak – odparła Gingie, lecz lekko się zawahała. – Oprócz brwi i rzęs. Muszę je przyciemnić.

– Roześmiała się na widok miny Roe. – Gdybyś widział teraz wyraz swojej twarzy!

– Farbujesz rzęsy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Czy to boli?

– Ależ skądże. Ale myślę, że twoja matka była tak naturalnie piękna, że nie musiała mieć żadnych tego typu sekretów.

– Tego typu rzeczywiście nie. Niemniej miała wiele innych tajemnic, Gingie. Tak czy owak, liczy się rezultat końcowy. A ten konkretny rezultat – mówiąc to ucałował jej policzek, powieki, włosy i skronie – jest całkiem zadowolający.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała niepewnie.

– Widzisz, wyglądać dobrze przed kamerą czy na scenie jest nietrudno. Ale wyglądać dobrze przed tobą... to zupełnie co innego.

– Kiedy ty zawsze dobrze wyglądasz – protestował Roe. – A twoja skóra... – Dotykał jej ramion, szyi i karku. – Jest jak księżycowa poświata, jak masa perłowa, jak alabaster. Jesteś tak delikatna, że... – Nie do końca panował nad tym, co mówi i czyni. Jego ciało przeszył dreszczyk podniecenia, a oddech stawał się coraz szybszy. – Będzie nam ze sobą wspaniale, zobaczysz. Zaufaj mi.

– Ufam – westchnęła. – W przeciwnym razie by mnie tu nie było. A ty nic byś nie wiedział.

– Cieszę się, że wiem – mrucał. – I nie chcę, żebyś była spięta. – Sięgnął dłonią ku jej plecóm i zaczął rozpinać błyskawiczny zamek. – Natomiast chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo jesteś piękna.

– To dzięki tobie... – Jej powieki stawały się ociężałe, a dłonie błądziły po jego torsie niecierpliwym, niezbyt wprawnym, a mimo to podniecającym ruchem.

– Rozepnij moją koszulę – poprosił Roe. Posłusznie spełniła rozkaz,

oszołomiona pieszczotami jego warg i dłoni i podniecającym uciskiem bioder. Gdy wreszcie rozpięła do końca koszulę, Roe rozebrał ją z sukienki. Miała na sobie już tylko cieniutką bieliznę.

– A nie mówiłem? – szepnął Roe. – Piękność! Położył dłonie na jej piersiach. Gingie westchnęła, a on zaczął ostrożnie wodzić końcami palców wokół nabrzmiewających brodawek. Po chwili stanowczym ruchem przyciągnął ją mocno do siebie i zaczął całować. Czowała jego aksamitny język i zamykające się wokół niej mocne ramiona. Gdy uniósł ją do góry i zaczął iść w kierunku łóżka, otworzyła oczy.

– Oto nasz ofiarny ołtarz – powiedział cicho. – Zaraz złożymy ofiarę dziewictwa...

Rozdział 9

Opadli na pachnące słońcem prześcieradła. Pocałunki Roe pozbawiły Gingie oddechu. Kwiliła z rozkoszy jak małe dziecko.

Uśmiechając się zdjął z jej stóp pantofle. Potem jego dłoń pieśczeniwie prześlizgnęła się wzdłuż wewnętrznej strony uda. Palce powolutku i ostrożnie zakradły się pod rąbek koronkowych majtek i zaczęły je zsuwać z bioder dziewczyny.

– A czy ty nie powinienes choć trochę się rozebrać? – zapytała.

Pocałował ją i zsunął się z brzegu łóżka, po czym zaczął rozpinąć pasek spodni. Gingie usiadła i obserwowała z fascynacją, jak rozpina dżinsy i razem ze slipkami zdejmuje je z bioder. Światło księżyca, zakradające się przez okno do pokoju, obrysowywało jego barczystą sylwetkę. Wzrok Gingie przykuła pewna szczególna część jego wspaniałego ciała.

Roe kładąc się, przycisnął ją mocno do materaca i zaczął całować jej piersi. Jego dłonie były wszędzie, wdzierały się w najtajniejsze skrytki, bezwstydnie odkrywały tajemnice jej najczulszych miejsc. Ręce Gingie obejmowały jego ramiona, błądziły we włosach i po gładkiej, rozgrzanej skórze pleców, głodne dotyku, głodne czegoś więcej.

Dotykał językiem szczytu jej piersi, a gdy westchnęła zaskoczona, coś jej szepnął do ucha i kontynuował wyrafinowaną pieśczeniwość na przemian to masując językiem, to chwytając delikatnie zębami nabrzmiały sutek.

Kiedy wreszcie jego palce odnalazły ten właściwy, czuły punkt ukryty w rozpalonym, roznamiętnionym zakątku pomiędzy udami, Gingie mało nie wyskoczyła ze skóry.

– O, mój Boże – jęknęła dziewczyna, mocno do niego przywierając. – Czy to zawsze jest tak?

– A jak jest?

– Jest tak, jakbym umierała – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. – Jakbyś mnie zabijał. Jakby moje serce miało za chwilę eksplodować...

– Czy chcesz, żebym przestał?

– Nie! Nie, wtedy już na pewno umrę. Kontynuował delikatny taniec palców pomiędzy jej rozsuniętymi udami, raz przyspieszając jego rytm, raz zwalniając, gdy już nie mogła złapać tchu.

– Co robisz? – zapytała, z trudem wydobywając z siebie jakiegokolwiek słowa.

– Sprawdzam, jak jesteś zbudowana – mruknął pieszczotliwie. – Ciaśniutko...

– Czy to źle?

– Nie – uspokajał ją czule. – Będziemy pasowali idealnie.

– Na pewno? – zapytała z powątpiewaniem. Powędrowała wzrokiem w dół jego brzucha i na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– Obiecuję. Jeżeli tylko odczujesz ból, powiedz mi i wtedy... – urwał, bo właściwie nie bardzo wiedział, co mogłoby wtedy nastąpić. Z całą pewnością wtedy nie mogliby się już cofnąć. – Jakoś z tego wybrniemy – dokończył.

Nakrył ją swoim ciałem, a ona instynktownie objęła udami jego biodra.

– Pomożesz mi, dobrze? Zrobimy tak, żeby ci było jak najlepiej.

Gingie patrzyła ufnie w jego rozplomienione oczy i posłusznie przytakiwała.

Wreszcie odszukał sekretne drzwi do jej ciała i z wolna wślizgnął się tam. Gingie objęła dłonią jego biodro, a on podciągnął ją wyżej, bliżej siebie. Zaciśnęła powieki i głośno westchnęła, podczas gdy on pchnął nieco mocniej, starannie jednak kontrolując każdy swój ruch i jej reakcje.

Gingie cichutko jęknęła, gdy dwukrotnie poruszył się w niej pomału, a potem po raz trzeci, mocniej. Pochylił ku niej głowę i szepnął:

– Czy to boli?

– Właściwie nie, ja myślałam... Ach! – urwała, gdy wycofawszy się powrócił mocnym ruchem raz, drugi i znowu.

Najpierw ich wspólny rytm był bardzo wolny, jego dłonie wprawnie poruszały jej biodrami, ich oddechy tworzyły zgodny, głośny i pełen pasji duet, uzupełniany poskrzypywaniem sprężyn staroświeckiego łóżka. Stopniowo rytm stawał się coraz szybszy, a ich rozgrzane, pokryte potem ciała splatały się coraz mocniej, coraz bardziej zachłannie. Gingie wysoko unosiła kolana starając się przyjąć go w sobie coraz to głębiej i głębiej.

Orgazm przyszedł nagle, wypełnił piersi i brzuch, wprawił w drżenie i dygotanie całe ciało i nasycił ją potężną, obezwładniającą dawką nie kontrolowanej rozkoszy. Roe wciąż się w niej poruszał, jego usta wędrowały po jej ramionach i szyi, a dłonie robiły wszystko, by przedłużyć i pogłębić stan błogości, w którym tonęła bez reszty.

– Och, Roe... – westchnęła. Otworzyła oczy i napotkała jego rozplomieniony, pełen napięcia wzrok. – Czy zawsze jest tak, jak było teraz?

– Nie – wymruczał. – Nie zawsze. Teraz było...

– Oooh, Roe – westchnęła Gingie.

– Jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze. Nigdy nie straciłem głowy do tego

stopnia...

Gingie tuliła się do niego, bezwładna i wyczerpana.

– Przeszanę śpiewać – westchnęła.

– Co? – zapytał ze zdziwieniem w głosie. Odwrócił ku niej twarz, by zrozumieć, o czym w ogóle mówi.

Ale Gingie już spała. Przez chwilę obserwował ją z czułością, po czym uśmiechnął się sam do siebie. Nagle poczuł całe wielodniowe zmęczenie bezsennością i znużenie po emocjach ostatnich paru godzin. Przytulił policzek do jasnej głowy Gingie i zamknął oczy. Zасыpiając pomyślał, że będzie na przyszłość potrzebował wiele, wiele sił.

– Nie umierasz przypadkiem z głodu? – dopytywała się Gingie późnym rankiem następnego dnia. – Bo ja tak!

– Ja też – odpowiedział leniwie. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, bardziej strudzony, a zarazem bardziej szczęśliwy, niż był kiedykolwiek w życiu. – Ale nie wiem, czy zdołam utrzymać w ręku widelec.

Gingie roześmiała się i przytuliła do niego. Kochali się jeszcze raz w środku nocy, a potem z samego rana. Nigdy jeszcze nie czuła się tak cudownie.

– Zaparzę ci trochę ziół na wzmocnienie. Szybko odzyskasz siły.

Nie otwierając oczu, pieścił od niechcienia jej ramię i całował zmierzwiłone kosmyki włosów.

– Myślałaś, że będę tobą znudzony – przypomniał jej, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową nad tym przypuszczeniem.

– No cóż, może i jesteś... – westchnęła. – Ty tak wiele wiesz i rozumiesz, podczas gdy ja jestem raczej... ignorantką.

– Ejże. Przecież widziałem twoje wyszukane wakacyjne lektury.

– Masz na myśli te książki o depresji seksualnej i o wykopaliskach z Anatolii? Musiałam je przeczytać. Napisali je moi rodzice.

– Aha – zrozumiał wreszcie, w czym rzecz. – Więc o to chodzi.

– Rodzice są wykładowcami. Moja siostra. Letycja. ukończyła medycynę z najwyższymi notami i jest jedną z najbardziej znanych homeopatek w Nowym Jorku. Camilla ma dwa doktoraty i uczy na uniwersytecie Columbia, oczywiście jeżeli akurat nie jest pochłonięta swoją działalnością społeczną. A ja miałam kiepskie stopnie i nigdy nie nadażalam. Trzykrotnie zdawałam historię powszechną, zanim się okazało, że nie będę w stanie jej zdać.

– Byłaś najmłodszą siostrą, więc nauczyciele oczekiwali, że będziesz w szkole

nie mniej genialna niż Letycja czy Camilla. Jednak nie jesteś głuptasem, kochanie.

– Byłam nawet poddana testom psychologicznym – wyznała i westchnęła ciężko. – Miałam zawsze tę świadomość, że jestem inna. Bardzo często nie słyszałam, co mówi nauczyciel lub nie rozumiałam tego, co było w książce, bo przez cały czas wibrowała mi w głowie muzyka. Ciągłe słyszałam jakieś dźwięki. Melodie, rytmy, akordy i nawet wiersze.

– Kiedy zdałaś sobie sprawę z tego, że to twoje powołanie? – zapytał Roe.

– Jako dziecko grałam na pianinie i na gitarze. Ale dopiero gdy mój głos wydoroślał, zrozumiałam, że to jest to. Miałam wtedy dwanaście lat. Wówczas na dobre zaczęłam śpiewać. Nie byłam dobra w szkole ani w sporcie i nie byłam ładna. – Zamknęła oczy pod wpływem przykrych wspomnień. – Ale wiedziałam, że nikt nie jest w stanie śpiewać tak jak ja.

– Czy twoi rodzice zainteresowali się tym? – pytał, błędząc dłonią po jej włosach.

– Cieszyli się, że w końcu mam jakąś pasję, ale nie do końca to rozumieli. Nadal zresztą nie rozumieją, ale słuchają moich płyt, więc i ja staram się czytać ich książki.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Taki los bardzo często spotyka ludzi naprawdę utalentowanych – powiedział. – Moja matka, na przykład, zawsze czuła się inna, samotna, zagubiona. Cała jej rodzina z pewnością bardzo ją kochała, ale była pomiędzy nimi bariera nie do przekroczenia. Przyszła na świat wśród chłopów i pasterzy, którzy nie byli w stanie pojąć jej zawodowej pasji. W ten sam sposób jak intelektualiści, którzy cię otaczali, nie umieli zrozumieć ciebie.

– Ale ty potrafisz mnie zrozumieć, prawda? – zapytała Gingie bardzo przejęta.

– Być może.

– Więc... Więc myślisz, że to nie ma specjalnego znaczenia? To, że nie jestem zbyt bystra i mądra? – Czekwała z bijącym sercem na jego wyrok.

– Oj, Gingie, uważam, że jesteś wspaniała. Zrzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego.

– Dziękuję ci! – wyszeptała czule.

– No, dzieciaki. Zacząłem już obstawiać zakłady o to, czy kiedykolwiek wyjdziecie z tej chaty – oświadczył ze sporą dozą ironii Milo, gdy około południa Gingie i Roe ukazali się na tarasie domu.

– Czy coś zostało ze śniadania? Jestem strasznie głodna – dopytywała się

Gingie.

– Nie dziwię się – skomentował to wyznanie Milo i uśmiechnął się do Roe. – Dzwonił Vince.

– Czego chciał? – zapytał Roe ostrożnie.

– Miałeś rację. Ci faceci w łodzi byli jednak z prasy.

– Ukazał się wspaniały fotoreportaż o tym, jak to Gingie hula na Sycylii z tobą, mną i Sandym jednocześnie. Roe jęknął.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Milo. – Menażer Sandy’ego obwinia Vince’a o zniknięcie chłopaka. Vince obwinia o to mnie, a ja na wszelki wypadek obwiniam Gingie. W gruncie rzeczy jedyną osobą, której nikt o nic nie obwinia, jest sam Sandy, co jest raczej dość dziwne. Wniosek z całej awantury jest taki, że jesteś odpowiedzialny za jak najszybsze odstawienie faceta do domu.

– Ja? – zapytał Roe przyjmując z rąk Gingie szklanekę soku. – Dlaczego niby ja? Gingie, to ty musisz z nim pomówić.

– A gdzie on jest? – zapytała dziewczyna.

– Nie widziałem go od wczoraj wieczór – wzruszył ramionami Milo. – Odprowadził Marię do domu i wrócił późno.

– Odprowadził do domu Marię? – zdziwił się Roe.

– Sandy jest dżentelmenem – wyjaśniła Gingie.

– W każdym razie, kiedy rano wstałem, już nie było go w pokoju – kontynuował Milo. – Ale Roe ma rację, Gingie. Vince znowu wylądował na reanimacji, jeśli szybko nie dostarczymy Sandy’ego do Nowego Jorku.

– Porozmawiam z nim – obiecała Gingie.

– Zadzwoń do Vince’a i powiem mu, żeby się nie przejmował bulwarowymi doniesieniami – rzekł Roe.

– Czy powiesz mu o naszych planach związanych z nakręceniem teledysku? – zapytała Gingie.

Roe twierdząco pokiwał głową i ujął jej dłoń.

– Wszystkiego dopilnuję, bądź spokojna. Najpierw muszę iść do wsi. Co zamierzasz dziś robić?

– Coś przekąszę – odpowiedziała zmarszczywszy brwi. – A potem zobaczę, czy jeszcze mogę śpiewać.

– Co?

Pocałowała go w policzek i ruszyła w stronę domu, mówiąc: – Później ci to wytłumaczę.

Następne dwa tygodnie były najbardziej ekscytującymi tygodniami w życiu Gingie. Roe zabrał ją na spotkanie z proboszczem kościoła świętej Cecylii, a po paru dniach na zebranie, na którym mówiono o nowym przedsięwzięciu. Cała wyspa kibicowała planom Gingie i doceniała jej szlachetne zamiary. Roe w nienaganny sposób zabiegał o jej interesy, podbudowywał też jej ambicję pytając o opinie w różnych sprawach, tłumacząc dla niej na bieżąco negocjacje na tematy finansowe, czy też cierpliwie wyjaśniając trudne dla niej zawiłości.

Muza jakoś nie opuściła Gingie, pomimo jej oddania się cielesnym uciechom i, jak może nigdy dotąd, jej muzyka nabrała ognia. Melodie pobrzmiwały nieustannie w jej głowie, a głos brzmiał jeszcze głębiej i bardziej tajemniczo niż dotąd. Zanim ukończyła pracę nad piosenką do videoclipu, nabrała przekonania, że może to być jej najlepszy kawałek.

Stracone były tylko noce, od momentu gdy ustawała praca i zamykały się za nią i Roe drzwi domku. Nie było już wówczas innej muzyki niż jego zmysłowe westchnienia i szepty, innego rytmu niż rytm jego oddechu i serca, innego tańca niż gwałtowny taniec ich połączonych ciał w intymnym zaciszu sypialni.

Uległ zmianom także harmonogram dnia. Gingie wstawała teraz później i ani przez chwilę tego nie żałowała. Pierwsze godziny dnia zbyt były cenne, by dzielić je z kimś innym niż Roe. Gingie błogosławiła popołudniowe sjesty, podczas których mogli razem znikać, by kochać się w domku, wypoczywać w cieniu na hamaku lub gawędzić na plaży – on, rozciągnięty leniwie na piasku i ona, siedząca obok w ogromnym, słomkowym kapeluszu na głowie.

Nieźle im się również razem pracowało. Afrykańskie doświadczenia organizacyjne Roe bardzo się teraz przydały na Sontarze. Kręcenie teledysku szło jak z płatka. Vince miał wprawdzie swoje zastrzeżenia co do całego przedsięwzięcia, ale Roe nie wtajemniczał Gingie w szczegóły.

Gingie natomiast spostrzegła, że Roe bardzo szybko się nauczył nowej roli. Nie mówiła mu o tym, bo byłoby nie na miejscu proponowanie, by przejął funkcję brata.

Bardziej jednak satysfakcjonujące niż ich wspólna praca i bardziej nawet zbliżające niż seks były ich rozmowy przed zaśnięciem. Gdy odpoczywali razem w łóżku, Gingie opowiadała o sobie więcej, niż kiedykolwiek i komukolwiek w życiu. I coraz więcej zarazem dowiadywała się o Roe.

– Kiedy zamierzasz wrócić do Afryki? – zapytała pewnego wieczora. Pytanie to wisiało w powietrzu od wielu dni. Po długiej chwili Roe odparł:

– Nie mam takiego zamiaru. Przynajmniej nie teraz.

– Dlaczego nie? Co masz na myśli? Sądziłam, że jesteś tu tylko na czas urlopu.

– Niezupełnie. To dosyć skomplikowane.

– Myślisz o tym, żeby zrezygnować? – spytała niepewnie.

– Nawet próbowałem, ale w firmie nie dają za wygraną. Mam możliwość powrotu, kiedy tylko zechcą i na każdych warunkach.

– Musisz przedstawiać dla nich wielką wartość... Wzruszył ramionami.

– Bardzo długo dla nich pracowałem. Kocham to zajęcie. I Afrykę. Będzie mi brakowało... wszystkiego, co miałem na co dzień przez minione czternaście lat.

Na samym początku przygody zupełnie nie obchodziły mnie goryle w ich naturalnym środowisku. Jako dwudziestojednolatek wyruszyłem na rajd po to, by znaleźć się jak najdalej od „mojego normalnego życia, i po pierwszych dwóch tygodniach zauważyłem, że dla ludzi, wśród których obozowałem, byłem po prostu facetem o imieniu Roe. Nie żadnym synem Adeliny Marino czy Jordana Huntera, nie pasierbem Candy Jirrell czy innym ogniwem łańcuszka sławnych osób. Byłem tylko sobą i byłem oceniany wedle własnych zasług czy win.

– I właśnie tego wówczas potrzebowałaś – szepnęła.

– Tak, nawet bardzo. Chciałem stanowić jakąś wartość samą w sobie, a nie być częścią zwariowanej rodzinki.

– Twoja matka pewnie bardzo tęskniła za tobą.

– Tak. Byliśmy ogromnie do siebie przywiązani, a tymczasem od mojego wyjazdu do Afryki do momentu jej śmierci, który nastąpił cztery lata później, widzieliśmy się tylko trzy razy. Dzwoniłem do niej mniej więcej raz na sześć tygodni, gdy tylko miałem dostęp do telefonu. Zachowywała się w tych rozmowach jak typowa Sycylijka. Wypytywała, czy dobrze jadam, jak się mam albo dlaczego nie telefonuję częściej. „Co wieczór modłę się do świętej Marii, żeby nie zjadły cię lwy”, mówiła.

Gingie uśmiechnęła się.

– Brakowało ci jej?

Milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Czasami tak. Ale to także przed nią w końcu uciekałem. Nie umiałem ochronić jej przed samowyniszczeniem, a zarazem nie byłem w stanie być obok i przyglądać się, jak to postępuje. W tym czasie byłem zbuntowanym, lekkomyślnym szczeniakiem, Gingie.

– Ale zmieniłeś się bardzo od tamtych czasów. Teraz jesteś człowiekiem zdecydowanym i silnym. Ludzie czują się bezpiecznie w twoim towarzystwie. Ucałował ją i westchnął.

– Przechodziłem różne przeobrażenia. Mam trzydzieści cztery lata, a od dwudziestego roku życia wciąż byłem w drodze lub obozowałem gdzieś przejściowo. Nie mam domu, oprócz tego tu miejsca, a tu przecież nie przebywam na stałe. Nie mam... – Zawahał się przez moment. – Nie mam kobiety, rodziny, niczego własnego.

Położył się na plecach i z roztargnieniem pieścił Gingie.

– Gdy zdałem sobie sprawę, że to nie może trwać dłużej, chciałem zrezygnować z pracy. Wtedy zaproponowano mi stałą posadę w jednym z centrów operacyjnych, ale to nie było to. Potrzebowałem bardziej radykalnej zmiany. Pojechałem do Stanów sądząc, że może już czas wrócić tam na dobre. Myślałem o jakimś własnym interesie lub kupnie kawałka ziemi. O czymś... solidnym.

– Zmęczyły cię podróże?

– Nie. Uwielbiam podróżować. Ale zaczynam pragnąć stabilizacji.

– A więc myślisz, że powinieneś osiąść w Stanach?

– Jak mógłbym? Byłem tam trzy dni i powtórzył się stary scenariusz.

– Twoja siostra? – szepnęła Gingie obserwując napięty wyraz jego twarzy.

– Taak – westchnął.

– Co się właściwie wydarzyło, Roe?

– Jak tylko się tam zjawilem, od razu się zorientowałem, że znowu bierze.

– Znowu? Więc to był stary problem?

– Tak. Zaczęła jeszcze wcześniej niż ja.

– Co zrobiłeś?

– To co zwykle.

– To znaczy?

– Przeżyłem młodość dzięki temu, że nauczyłem się nie wtrącać w życie innych ludzi. Czasami przychodziło mi to ciężko, jak w przypadku mamy. Kiedy po raz ostatni rozmawiałem z nią przez telefon, byłem właśnie w połowie kolejnej wyprawy. Prosiła, żebym przyjechał. Z powodu alkoholu i prochów opuściła już dwa dni zdjęciowe w nowym filmie. – Roe pokręcił głową. – Nie zwracała się już wówczas do Vince'a, był zbyt despotyczny. Jednak kogoś bardzo potrzebowała. Błagałem, żeby poszła do ośrodka Anonimowych Alkoholików, żeby przerwała zdjęcia, poszła do kliniki lub na jakiś czas przyjechała do mnie do Nairobi. Żeby zrobiła cokolwiek. Ale powiedziałem też jej... że nie będę dłużej jej kontrolować.

– Więc nie zgodziłeś się przyjechać? – zapytała Gingie.

Przytaknął.

– Dwa tygodnie później odnaleziono ją martwą. Myślę, że nie zrobiła tego

celowo. Prawdopodobnie chciała tylko uśmierzyć ból...

Głos Roe załamał się nagle, jego powieki były zaciśnięte. Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

– Jeszcze nikomu nigdy tego nie opowiadałem, Gingie. Jesteś jedyną osobą, która wie.

Po policzku dziewczyny pociekła gorąca łza. Przyłgnęła do niego i zamknęła oczy, gdy zanurzył twarz w jej włosach.

– Dziękuję, że mi to opowiedziałeś – wyszeptała.

– Musisz zrozumieć, że w żaden sposób nie mogłeś jej pomóc.

– Nie jestem tego pewien – powiedział ponuro.

– Może powinienem natychmiast przyjechać i zaprowadzić ją na odwyk. Może gdybym wtedy wkroczył...

– Może – przyznała Gingie. – Ale ona już wcześniej się leczyła i niewiele to dało. Nie mogłeś przecież sprawić, by zaczęła chcieć z tego wyjść. Roe.

Gładził jej plecy, wdzięczny, że znalazł w niej wyrozumiałą słuchaczkę, a nie surowego sędziego. Wreszcie odezwała się Gingie:

– Co więc postanowiłeś zrobić, kiedy zorientowałeś się po raz pierwszy, że Lisa bierze?

– Nie zrobiłem żadnego zdecydowanego ruchu.

– Roe niespokojnie poruszył się na poduszkach. – Ani wówczas, ani później, kiedy miała już dziewiętnaście lat, a ja wiedziałem dobrze, że nadal ćpa. – Napotkał uważne spojrzenie Gingie. – W zeszłym roku prowadziła po pijanemu samochód i miała stłuczkę. Kiedy jechałem tej wiosny do Los Angeles, nie miałem pojęcia, w jakim stanie ją zastanę.

– No i?

– Była markotna i spięta. Wściekała się na mnie za moją wieczną nieobecność. Po trzech dniach znalazłem ją w łazience półżywą.

– Myślę, że ona po prostu na ciebie czekała...

– powiedziała Gingie powoli, z namysłem. Zdawało jej się, że wreszcie zaczyna rozumieć. – Chciała, żebyś był w Los Angeles, był blisko, kiedy to zrobi. Jesteś jedyną osobą zdolną zrozumieć jej wołanie o pomoc, ona to wiedziała. Liczyła, że jej pomożesz.

– Tylko że do dziś nie może mi darować tej „pomocy” – przyznał Roe z goryczą. Gingie delikatnie dotknęła dłonią zanikających już szram na jego policzku. – To w szpitalu urządziła mnie w ten sposób. Wtedy, kiedy jej powiedziałem, że idzie na odwyk.

– Czy nadal jest na ciebie zła? – zapytała Gingie.

– Tak przypuszczam – odpowiedział. – Nawet nie podchodzi do telefonu, ilekroć dzwonię do niej do kliniki.

– Nie chce z tobą rozmawiać? – Gingie była zaszokowana. Może było już za późno, żeby wytłumaczyć cokolwiek jego matce, ojcu czy macosze, ale siostra Roe powinna wreszcie zrozumieć, jak bardzo jest mu potrzebna. Nie można w końcu ciągle tylko dawać i dawać i niczego nie otrzymywać w zamian.

– Nie chce. – Roe uśmiechnął się ciepło na widok świętego oburzenia, jakie zabłysło w spojrzeniu Gingie. – Ale nie przejmuj się tym, kochanie, nie ma czym...

Jedyne, co Gingie mogła teraz zrobić, to objąć go mocno i przytulić się do niego...

Była już bardzo późna noc, kiedy wsłuchując się w jego równy, głęboki oddech pomyślała, że stało się w jej życiu coś bardzo ważnego. Nagle zapragnęła, żeby zawsze byli już razem i nigdy się nie rozstawali, jak jej rodzice.

– Dam ci wszystko, czego zapragniesz... – szepnęła cichutko. Pomyślała też z dumą, że odkąd są razem, Roe zasypia co dzień mocnym, spokojnym snem...

Rozdział 10

– Czy już rozmawiałś z Sandym? – zapytał Roe dwa dni później.

Przechadzali się właśnie po wsi wraz z Milo i Zu Aspanu, by wybrać najdogodniejsze zakątki do nakręcenia filmu.

– Ostatnio właściwie mało go widuję – odpowiedziała Gingie. – A za każdym razem, gdy wspominam o wyjeździe, nie chce w ogóle o tym mówić.

– Telefony znowu działają, więc będę dziś po południu dzwonił do Vince’a.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecała Gingie. Wkroczyli na niewielki, malowniczy dziedziniec porośnięty kwitnącymi drzewami, z fontanną w centrum i Gingie aż podskoczyła z entuzjazmu, pociągając za sobą Milo. Roe obserwował ją z przyjemnością. Mało kto potrafił czerpać z życia tyle radości co Gingie.

– Roe! Chodź tu szybko i popatrz! – zawołała, ochlapując Milo wodą z fontanny. – Czy to nie wspaniałe?

Podbiegła do niego i pociągnęła za rękę, by wraz z nią obejrzał dziedziniec. Na widok jego miny zmarszczyła brwi.

– Coś nie tak?

– Nie, skądże. Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko. I rzeczywiście tak było. Poczuję osłabienie i dziwne znużenie.

– Zmęczony? Nic dziwnego. Po ostatniej nocy?

– Gingie uśmiechnęła się rozkosznie i westchnęła. – Ty rzeczywiście w niczym nie znasz umiaru. Roe...

– Jestem nie tylko zmęczony, ale wręcz obolały – użalał się przekornie.

– Ty jesteś obolały? To co ja mam powiedzieć!

– Gdybyś mogła choć przez chwilę skupić się na sprawach zawodowych, Gin – zaczął Milo z wymówką w głosie. – Zasugerowałbym ci, że to miejsce jest idealne do nakręcenia drugiej wersji piosenki.

Kierując się radami Milo i własną wyobraźnią, zaczęła markować plan zdjęciowy i poszczególne ujęcia. W momencie gdy zajmowała się pracą, wszystko inne przestawało dla niej istnieć. Roe zauważył, że koncentrowała się maksymalnie. W tym przypominała mu jego matkę.

Śpiewała swoją nową piosenkę, Milo aranżował w tym czasie całą scenę, a Zu Aspanu szukał możliwości dogodnych ujęć kamery.

Roe otarł pot z czoła. Trzymał się na nogach niepewnie i zasychało mu w gardle. Gdy opuścili już dziedziniec, uśmiechnął się do Gingie i wziął ją za rękę.

– To piękna piosenka.

– Utożsamiam się w niej ze świętą Cecylią – odpowiedziała. – Ona zachowywała czystość w imię wiary, a ja – w imię sztuki. To jednak bardzo smutne – westchnęła. – Ja spotkałam ciebie i mimo to nadal mogę komponować i śpiewać, a ona samotnie skonała w męczarniach. Była taka dzielna...

Roe uniósł do ust dłoń Gingie i czule ją ucałował. W tym samym niemal momencie usłyszał odgłos aparatu fotograficznego.

Uniósł głowę. Fotoreporter nie był sam, było z nim jeszcze dwóch dziennikarzy. Wszyscy trzej zmierzali w ich stronę po bruku wąskiej uliczki.

– Pan Prospero Hunter, prawda? – zapytał jeden z nich.

Roe przytaknął, zdając sobie sprawę z tego, że zaprzeczanie byłoby zbędną stratą czasu.

Nagle on, Gingie i Milo zasypani zostali gradem pytań.

Gingie ze swobodą pozowała do zdjęć. Roe natomiast usiłował opanować coraz mocniej doskwierające mu dreszcze i mdłości. Żołądek podchodził mu do gardła, a w głowie tętniło coś głośno, niczym perkusja Doktora.

Starł się zachować spokój i dzielnie holować Gingie przez tłum napierających dziennikarzy. Oni byli jednak tak uparci i agresywni, że w końcu jego cierpliwość się wyczerpała. W pewnym momencie ciemnowłosa dziennikarka zadała mu poufałym tonem pytanie:

– Roe, czy może pan skomentować samobójczą próbę pańskiej siostry, która miała miejsce w zeszłym miesiącu?

Wiedząc, że to najgorsza rzecz, jaką może zrobić, Roe burknął coś ordynarnego pod adresem dziennikarki, fotografowi poradził, gdzie ma sobie wsadzić swój aparat i roztrącając wszystkich dokoła opuścił towarzystwo.

– Przykro mi, po prostu straciłem nagle cierpliwość – wyjaśniał później, gdy byli z Gingie w domku. – Potrzebowałem paru chwil spokoju i samotności. Do licha, w końcu po to w ogóle przyjechałem na Sontarę!

Nastąpiła chwila pełnego napięcia milczenia. Wreszcie odezwała się Gingie:

– Chcesz być sam? Mogę sobie pójść. Myślałam tylko... Chciałabym ci pomóc. Zdenerwowało cię pytanie o siostrę, tak?

– Osoby publiczne nie mają prawa do sekretów, prawda? – odparł cierpko.

– Mają prawo. Ja mam swoje sekrety.

– Nie masz. Każdy brukowy dziennikarzyna w Ameryce wie od dzisiaj, że jesteśmy kochankami.

– Mylisz się – powiedziała Gingie spokojnie. – Oni nigdy nie znają prawdy, niezależnie od tego, co piszą czy mówią. Najpierw pisali, że jestem kochanką Sandy’ego, potem kojarzyli mnie z Milo, z jakimś francuskim aktorem, którego nazwiska nie pamiętam... To nie ma żadnego znaczenia. Miałoby, gdybym się tym przejmowała. Ale ja o to nie dbam. Roe czuł się coraz gorzej.

– Musimy porozmawiać – powiedział z trudem.

– Dobrze Roe. ale usiądź, proszę. Nie wyglądasz najlepiej.

Gingie się nie myliła. Ledwo stał na nogach. Czuł niesmak i jakiś dziwny ucisk w żołądku. Na dodatek dręczyły go wciąż trudne pytania. Dlaczego spośród wszystkich kobiet świata trafił właśnie na Gingie?

– Rozmawiałem z Vince’em – zaczął.

– Jak się czuje? – zapytała od razu.

– Poza drobnymi komplikacjami nieźle. Ale lekarze twierdzą zgodnie, że jeśli chce dożyć wieku dojrzałego, powinien poszukać spokojniejszej pracy.

– Czy to znaczy... – zająknęła się – że już nie będzie moim impresariem?

– Niestety nie. Musisz sobie poszukać nowego. Vince mówił, że ma paru kandydatów, ale przekonałem go, że ostateczna decyzja i tak powinna należeć do ciebie. Wróć do Nowego Jorku i zajmij się tym. Mogę zarezerwować dla ciebie bilet na jutro.

– Nie! – zawołała, a potem dodała już spokojniej:

– Nie chcę nigdzie jechać bez ciebie.

To proste wyznanie rozczuliło Roe. Był jednak nieugięty.

– Zdaniem Vince’a nie możesz czekać.

– Więc jedź razem ze mną – zaproponowała.

– Co?

– Albo zadzwoń do Vince’a i powiedz mu, że...

– Jej oczy zrobiły się nagle duże i okrągłe. – Powiedz mu, że biorę ciebie na jego miejsce.

– Zwariowałaś?!

– Nie, to doskonały pomysł! – wykrzyknęła i przycupnęła tuż przy nim. – Moglibyśmy razem pracować, a sam mówiłeś, że chciałbyś jakiejś odmiany.

– Mówiłem, że chcę stabilizacji – uściślił Roe.

– Funkcja impresaria rockowej grupy to zajęcie raczej mało...

– Będziesz miał stabilizację, obiecuję. Będziesz miał mnie. Ja jestem stała i wierna.

– I będziemy mieli masę problemów – podsumował Roe, zirytowany.

– Nie mów tak. – Spojrzała na niego roziskrzonymi, błękitnymi oczami. – Roe, przecież ja cię kocham. Powinniśmy być razem.

– Czy ty żartujesz? Przecież nie minie wiele czasu i ciebie także będę podnosił z posadzki w łazience i odsyłał do kliniki na odwyk.

– Co? – Gingie spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem.

– Ilu fotografów będzie sypiać na naszej wycieraczce? Jak dużo czasu upłynie, zanim... Zanim my...

– Roe? – Gingie ujęła jego dłoń, a drugą ręką dotknęła rozpalonego czoła. Był blady jak ściana i zlany potem. – Masz gorączkę! I bardzo przyspieszony puls!

– O Boże... – nagle zrozumiał. Gdyby nie był tak zdenerwowany, już wcześniej rozpoznałby objawy: znużenie, mdłości, depresja, rozdrażnienie, dreszcze...

– To malaria – wykrztusił.

– Malaria!?

– Wszystko w porządku, niech cię to nie przeraża. Już to kiedyś miałem.

– Musimy znaleźć lekarza!

– Nie, po prostu pomóż mi dobrnąć do łóżka – poprosił. – I nie szukaj lekarza, nie potrzebuję go.

– Co więc mam robić? – pytała bezradnie, pomagając mu dowlec się do łóżka. Wydawał jej się przerażająco bezwładny, ciężki i rozgorączkowany.

– Pomóż mi się rozebrać i przynieś trochę wody. Gingie szybko wykonała polecenie.

– Co dalej? – zapytała.

– Wszystko w porządku – mruknął słabo. – Teraz po prostu mnie zostaw. Muszę to wypocić.

– Ależ nie. Roe! Wyglądasz jakbyś umierał! Uśmiechnął się blado, podczas gdy Gingie układała go na poduszkach i okrywała prześcieradłami.

– Przywykłem do tego. Kiedy przechodzisz to siódmy czy ósmy raz, nie jest to już takie straszne.

Gingie ujęła jego dłoń i ścisnęła ją mocno.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja też cię kocham – odparł.

W tej sytuacji Gingie postanowiła, że Roe, chce czy nie chce, musi wrócić wraz z nią do Nowego Jorku. Teraz chodziło tylko o to, by wydobrzał na tyle, aby w ogóle podjąć z nim ten temat. Po zaledwie kilku minutach od pójścia do łóżka, Roe popadł w dziwne odrętwienie.

Po godzinie Gingie posadziła przy nim Milo, a sama pobiegła, by zadzwonić do

siostry w Nowym Jorku. Letycja, która zdecydowała się przyjechać na wyspę, by pomóc, poinstruowała Gingie co do zasad pierwszej pomocy.

Przez cały wieczór gorączka stopniowo wzrastała. W nocy Roe zaczął majaczyć. Choć Letycja uprzedzała, że to może nastąpić, Gingie była jednak przerażona. Niewiele mogła zrozumieć z nieprzytomnego bredzenia, podczas którego Roe miotał się na łóżku i dygotał.

Nad ranem Roe odzyskał przytomność. Wciąż miał dreszcze, a jego skóra nadal była rozgrzana, lecz zdołał zawołać imię dziewczyny. Gingie, mokra od potu i sztywna z niewyspania, szepnęła mu do ucha:

- Jestem tutaj. Wszystko w porządku. Jestem tu. przy tobie.
- Zimno mi – wymamrotał i po chwili dodał: – Nie odchodź stąd.
- Nie odejdę – obiecała, gładząc jego pozlepiane od potu włosy. – Kocham cię.

Potem usiłowała go napoić miksturą sporządzoną według recepty Letycji, lecz Roe wypluł ziółka, klnąc szpetnie.

Po kilku godzinach, gdy Gingie omdlewała ze zmęczenia i braku snu, zauważyła, że kryzys minął. Zwinęła się w kłębuszek na drewnianym krześle i obserwowała z bliska twarz chorego.

– Gingie – wezwał ją Milo, który zajrzał chwilę później do domku. – Nawet nie tknęłaś jedzenia, które ci przyniosłem.

- Nie jestem głodna – odpowiedziała znużonym głosem.
- Musisz więc być zakochana.
- Jestem – odparła szczerze.

Milo podszedł bliżej i stanął nad łóżkiem Roe.

– Czy on o tym wie?

– Tak, ale chyba nie jest tym szczególnie zachwycony – westchnęła. – Miałam pecha, że trafiłam na mężczyznę, który całe życie unikał jak ognia tak zwanych sławnych ludzi.

– Widać takie było twoje przeznaczenie...

– On się boi, że wyląduje w tym samym punkcie, w którym był, zanim zaczął swoją wielką ucieczkę przed rodziną. Ale nie wie o tym, że ja nie jestem taka jak oni.

– Zorientuje się wkrótce – pocieszył ją Milo. – To bystry chłopak. A poza tym beznadziejnie zakochany. Jeszcze z tym walczy, ale gołym okiem widać, że już jest trafiony i zatopiony. Właśnie przed chwilą dzwonił don Ciccio. Wiezie tu Letycję. Czy nie wyszłabyś po nią? Ja mogę tutaj posiedzieć.

– Nie, ja...

– No, zrób to – nalegał Milo. – W końcu sama ją tu zaprosiłaś.

Roe otworzył oczy. Jego mięśnie były sztywne i obolałe, a w głowie słyszał głucho łomotanie.

– Co ty tu robisz? – zapytał zobaczywszy przy swoim łóżku Milo, który pochłonięty był lekturą jakiegoś czasopisma muzycznego.

– Więc w końcu żyjesz! – powiedział Milo. – A myślałem, że z tobą już koniec.

– Jeszcze nie. – Roe jęknął. Jak długo to trwało? Milo zerknął na zegarek.

– Jakies dwadzieścia sześć godzin.

– To nie najgorzej. Bywało, że dwa, trzy dni...

– Jesteś twardzielem, Roe – skwitował Milo.

– No cóż, myślę, że niezłe nakwękałem minionej nocy...

– Nie wiem. Gingie była tu z tobą, nie ja.

– Ona tu była? – Roe zmarszczył brwi usiłując to sobie przypomnieć. – A, tak. Rzeczywiście chyba tu była.

– Przez całą noc. I w dodatku nic nie jadła. To wygląda na poważny przypadek.

– Mówiłem jej, żeby nie zostawała – mruknął Roe.

– Ale chyba nie liczyłeś na to, że cię posłucha. – Roe nachmurzył się i spojrzał gdzieś w bok, a Milo kontynuował: – Gingie to twardy orzech do zgryzienia, faktycznie, ale nie doceniasz jej skłonności do poświęceń. Uwielbia opiekować się ludźmi. Mnie samemu matkowała przez rok, przechowując w dodatku u siebie. Niańczyła Sandy’ego od momentu jego pojawienia się w Nowym Jorku. Mógłbyś miewać takie ataki raz na tydzień zamiast raz do roku, a ona i tak czuwałaby przy tobie całą noc. Ta wariatka cię kocha.

– Milo, ja...

– Wiem, co sobie możesz myśleć, stary. Pochodzisz ze specyficznej rodzinki. Hollywoodzka bajka zamieniła się w koszmar na twoich oczach. To fakt, że w naszych zawodach potrzeba jakiejś podpórki. Pech chciał, że członkowie twojej rodziny podpierali się tym, co, niestety, przynosi same kłopoty. Ale nie każdy to robi. Roe. – Milo zdjął swoje okulary i przyjrzał się im. – Uważam, że czasem warto spojrzeć w przyszłość przez różowe okulary. Być może w to nie uwierzysz, ale kiedyś byłem bardzo cynicznym facetem.

– Nigdy bym na to nie wpadł.

– Takie różowe szkła dają mi też odrobinę prywatności. Nikt nie widzi moich oczu – dodał Milo.

– Zauważyłem – przyznał Roe.

Milo znowu nałożył okulary i ciągnął dalej:

– Gingie ma inną metodę, prostą i może nawet skuteczniejszą. Ona po prostu zapomina o wszystkim co złe. Zauważyłeś to? Obserwuję ją już dwanaście lat i nie widziałem, żeby przez ten czas zdołał się do niej przykleić jakiś brud. Choćby na krótko. – Milo wzruszył ramionami. – No więc, stary, możesz spróbować pójść tą dróżką albo wrócić do buszu i zostać samotnym do końca życia. Przemyśl to dobrze.

Powiedziawszy to, Milo opuścił domek. Roe patrzył przez chwilę w sufit, po czym bosy i nagi poczłapał do łazienki, by gorącym prysznicem odświeżyć zmaltretowane ciało i ocieęzały umysł.

Wiedział, że nie ma żadnych gwarancji na powodzenie w życiu. Wiedział aż nadto dobrze, jak okrutne i nieprzewidziane figle płata czasami los. A nade wszystko nie chciał skazać się w życiu na sytuację, w której znów musiałby obserwować z bliska, jak ktoś, kogo kocha, nie potrafi udźwignąć presji opinii publicznej i staje się ofiarą własnej sławy.

Musiał jednak przyznać rację argumentom Milo. Czuł, że jego osobiste urazy, lęki i uprzedzenia nakładały się na obraz Gingie, gdy tymczasem ona była przecież osobą zupełnie wyjątkową. Miała rzadki dar zjednywania sobie ludzi i losu, który prawdopodobnie chronił ją przed zgubą.

On i Gingie mieli teraz szansę na to, by wzajemnie zacząć się wspomagać. Najpierw on pragnął się nią zaopiekować, teraz ona roztoczyła nad nim swoje opiekuńcze skrzydełka. Dowiodła mu swojego oddania już wiele razy. I wtedy, gdy się kochali, i wtedy, gdy wysłuchiwała ze zrozumieniem jego zwierzeń, gdy cierpliwie znosiła jego wybuchy i złe humory, tolerowała lęki, pielęgnowała go w chorobie.

Wyskoczył spod prysznica i zaczął się wycierać ręcznikiem. Gdy nakładał płaszcz kąpielowy, usłyszał, że ktoś wchodzi do domku.

Miał tremę przed rozmową z Gingie, niczym jeden z jej anonimowych fanów.

Jej piękne niebieskie oczy zaśniły radością na jego widok.

– Milo powiedział mi, że już wstałeś! – zawołała. – Ale czy nie powinienes jeszcze trochę pozostać w łóżku?

– Musiałem wziąć prysznic. Byłem przeпоcony jak stara skarpetka.

Ochrypły, lecz ciepły tembr jego głosu wywołał uśmiech na twarzy Gingie. Dźwigała tacę pełną sporządzonych przez Letycję specyfików. Postawiła ciężar na stoliku i oświadczyła.

– Cieszę się, że już lepiej wyglądasz. Przestraszyłeś mnie.

– Ty za to wyglądasz okropnie – odpowiedział. Rzeczywiście. Gingie miała zaczerwienione oczy.

wymizerowaną twarz i potargane włosy. Kiedy jednak uśmiechnęła się do niego promiennie, stała się nagle ładniejsza niż kiedykolwiek.

– No cóż, całą noc czuwałam przy twoim łóżku. Nie zawsze wyglądam tak dobrze, jak na scenie. Będziesz musiał się z tym pogodzić. Roe.

– Gingie, musimy porozmawiać.

– Musimy. Ale najpierw powinieneś wypić wszystkie te wywary i połknąć to, co dla ciebie przeznaczyła Letycja.

– Dzwoniłaś do niej? – zapytał słabo.

– Ona jest tutaj.

– Tutaj?!

– Kiedy rozchorowałeś się wieczorem, zadzwoniłam do niej do Nowego Jorku i kazałam jej natychmiast przyjechać, na wypadek, gdybyś jednak nie wydobrzeał tak szybko, jak obiecywałeś. – Widząc zdumiony wyraz jego twarzy, dodała szybko: – Nie mogłam przecież wezwać miejscowego lekarza po tym, co o nim opowiadałeś.

– No, raczej nie – zgodził się Roe. Wypił jeden łyk z kubka, który podała mu Gingie, po czym niemilosiernie się skrzywił. – Ja nie mam zamiaru...

– Do dna – rozkazała Gingie stanowczo.

– Do dna? – powtórzył bez przekonania. Gdy przytaknęła, pociągnął ją za rękę, by usiadła obok niego na łóżku. – Gingie, my...

– Aha, byłabym zapomniała. Przed chwilą telefonowałam do Vince'a. Udało mi się go uspokoić. Jutro rano Sandy leci do Nowego Jorku – uśmiechnęła się i dodała: – A Maria Sellerio ze swoją babcią wybiera się do niego w odwiedziny w przyszłym tygodniu. Coś mi się wydaje, że mają zamiar się pobrać.

– Co? Jak do tego doszło? – spytał zdumiony.

Gingie wzruszyła ramionami.

– Pokrewieństwo dusz, jak przypuszczam. Maria jest po mnie drugą kobietą, do jakiej Sandy w ogóle zechciał przemówić w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. A najśmieszniejsze jest to, że ona mówi po angielsku mniej więcej tak samo jak on po włosku, czyli prawie wcale.

– Ich serca za to dobrze się komunikują – westchnął Roe.

– Dlatego właśnie ostatnio rzadko go widywaliśmy, a poza tym nie miał zamiaru stąd szybko wyjeżdżać. Zabiegał o względy Marii.

– I ściągnął sobie na głowę nieszczęście w postaci koszarnej teściowej. Gwiazdy rocka pakują się czasem w bardzo dziwne tarapaty.

– A ja cieszę się z jego szczęścia – powiedziała Gingie.

– Ja też – przyznał Roe. – Maria wniesie do jego życia dużo spokoju, a poza tym... – Potarł pieszczotliwie palcem grzbiet jej dłoni. – Poza tym, miejsce u twojego boku będzie znowu wolne.

– Jeśli ktoś miałby zająć miejsce u mojego boku, mógłbyś to być tylko ty. Ja ciebie potrzebuję. Roe.

– A ja ciebie.

Gingie uścisnęła jego rękę.

– A więc bądźmy razem. Na dobre.

– Boję się wstąpić na ścieżkę, którą kroczysz, Gingie – przyznał spokojnie.

– Wiem o tym. – Oblizwała nerwowo wargi. – I rzeczywiście nie mogę ci obiecać spokoju, dyskrecji i pełnej anonimowości.

– Ja nie...

– Mogę obiecać ci tylko siebie – przerwała mu.

– A także to, że będę cię kochać.

– Kocham cię – szepnął, przytulając twarz do jej szyi. – Jeżeli ty jesteś w stanie znieść moje humory, moją malarię i moich krewnych, to ja może jakoś się pogodzę z żądnymi sensacji dziennikarzami pism brukowych.

– Naprawdę? – westchnęła. – Więc ty... Więc zamieszkaż razem ze mną w Nowym Jorku?

– Tak, ale bez Milo i Letycji. Poszukamy sobie raczej osobnego lokum. – Potargał dłonią jej włosy. Decyzja przyszła mu łatwiej niż przypuszczał. Lęk ustąpił miejsca zadowoleniu. – A Vince'owi powiem, że może liczyć na moje zastępstwo.

– Naprawdę? – Gingie roześmiała się na cały głos i mocno go ucałowała. – Och, Roe!

– Ale wiele rzeczy musi się zmienić – ostrzegł ją. – Musisz trochę pomyśleć o sobie. Przede wszystkim spraw sobie książeczkę czekową. – Kiedy posłusznie pokiwała głową, dodał: – I należałoby też skończyć pertraktacje z kolejnymi wytwórniami płyt.

– Dlaczego?

– Mam zamiar otworzyć własną firmę pod nazwą Sontara.

– Naprawdę? – Gingie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Pewnie zajmie mi to trochę czasu, ale trudno. W buszu też na początku nie wiedziałem, jak w ogóle przetrwać, a potem stałem się najlepszym szefem ekspedycji. Bądź co bądź, nie mogę być tylko tak zwanym mężem swojej żony.

– Masz słuszość. – Gingie uśmiechała się do niego najczulej, jak umiała. – Nie musimy stąd wyjeżdżać od razu po zakończeniu zdjęć, prawda?

Uniósł jej dłoń do warg i ucałował.

– Nie, chciałbym tu jeszcze trochę zostać. Gdyby udało się nam wyprawić ich wszystkich do Ameryki, moglibyśmy sami we dwoje jeszcze trochę się nacieszyć spokojem. – Gdy to mówił, zauważył, że twarz Gingie tężeje w dziwny sposób. – O co chodzi? – zapytał podejrzliwie.

– Nnno więc... Kiedy Letycja dzwoniła do rodziców, powiedziała im, jak tutaj jest pięknie. A oni się tym bardzo zainteresowali. I wtedy ja... Pomyślałam sobie...

– Gingie wzruszyła z rezygnacją ramionami. – No cóż, Roe, zaprosiłam ich. W końcu są moimi rodzicami. Potem rozmawiałam też z Camilla i...

– Och, Gingie – jęknął Roe.

– A poza tym widziałam następną podejrzaną łódź. Tym razem mają na pokładzie kamery telewizyjne.

Roe westchnął ciężko, lecz po chwili oświadczył:

– Mniejsza z tym. Powstrzymamy wszystkie te głupie plotki i po prostu się pobierzemy. Natychmiast. Co ty na to?

– Och nie, wykluczone. Nie możemy się pobrać. Roe – odpowiedziała z przejęciem.

– Jak to nie możemy? A co z naszymi planami?

– To wszystko możemy mieć bez ślubu. Roe. Boję się, że moja rodzina nie zaakceptowałaby małżeństwa.

– Twoi rodzice? Przecież na pewno chcieliby...

– Oni sami nie są małżeństwem – powiedziała Gingie. – Moja matka twierdzi, że małżeństwo zamienia kobietę w przedmiot, że czyni ją niewolnicą i...

– Już rozumiem – przerwał Roe z kwaśną miną.

– Tylko że ja pochodzę akurat z tradycyjnej sycylijskiej rodziny, w której obowiązują pewne zasady. I dlatego jednak się pobierzemy, Gingie. Mam nadzieję, że zdołam to wytłumaczyć twojej matce i że ona zechce to zrozumieć. Są jeszcze jakieś rewelacje?

– Twoja siostra przyjedzie tu w odwiedziny, jak tylko wyjdzie z kliniki.

– Lisa?! – wykrzyknął zdumiony.

– Tak. Dziś po południu długo ze sobą rozmawiałyśmy. Bardzo ją polubiłam. Roe.

– Chciała z tobą rozmawiać?

– Naturalnie. Gdy tu przyjedzie, nauczy mnie żeglować. – Gingie pogładziła

delikatnie świeżo zablizniony policzek Roe. – Ona bardzo cię kocha, naprawdę. Po prostu nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, jak bardzo jesteś z nią związany.

– A ty jej to uświadomiłaś? – zapytał Roe. Znowu zadziwiła go kobieta, którą pokochał. – Jesteś moją sekretną bronią – wymruczał z dumą.

– Tak więc, może upłynąć mała chwilka, zanim zostaniemy sam na sam w spokoju i ciszy...

– Mała chwilka? Żartujesz chyba. Wygląda na to, że upłynie jakieś czterdzieści lat, zanim ten moment nastąpi – narzekał Roe.

– Nie masz nic przeciwko temu? – spytała Gingie nieśmiało.

– Powiedzmy, że zgadzam się na rozwiązania kompromisowe – odparł.

– Mówiłeś, że brak ci rodziny.

– Tak, ale miałem raczej na myśli jakieś potomstwo, a nie całą armię przyszywanych krewnych.

– Lubisz dzieci, prawda? – zapytała Gingie.

– Kocham – przyznał. – Ale zawsze bałem się...

– Byłbyś na pewno cudownym ojcem – przerwała mu. Jej oczy zabłyśły. Roe wyglądał tak pociągająco z wyłaniającym się spoza rozchylonej poły szlafroka muskularnym torsem... – Zróbmy sobie dziecko.

– Teraz? – W oczach Roe zapaliły się złote iskierki. Jego twarz była lekko zarumieniona, a ciało stężało pod wpływem czułego dotyku dziewczyny.

Gingie roześmiała się i popchnęła go na poduszki.

– Wiem, że ciągle jesteś jeszcze słaby. Będę bardzo delikatna.

Roe głośno westchnął, gdy dotknęły go gorące, delikatne usta Gingie. Bezwładnie oparł głowę na poduszce i głęboko oddychając poddawał się rozkosznym torturom.

Uśmiechnęła się i przytuliła policzek do jego brzucha. Przyciągnął ją bliżej siebie i zaczął całować. Jego pocałunki stawały się coraz gorętsze, a dłonie odbywały niecierpliwą, namiętą wędrówkę po jej ciele.

– Czy wiesz, co działo się minionej nocy? – szepnęła Gingie, gdy jego usta dotknęły jej piersi. – Czułam się winna. Leżałeś tu w malignie, nieprzytomny i rozgorączkowany, a ja patrzyłam na twoje nagie ciało i myślałam tylko o seksie...

– To mi się podoba – mruknął Roe wyplątując jej ciało z pończoch, pasków, szortów i całej masy łańcuszków, którymi była obwieszona.

Nagle stracił cierpliwość i przyciągnął ją mocno do siebie, półubraną. Uwięził ją w uścisku ramion i poczuł, jak jej dłonie obejmują jego plecy, a szczupłe uda rozsuwają się. Delikatnie sprawdził dłońią, czy jest gotowa, a potem z pomrukiem

rozkoszy wślizgnął się do jej wnętrza.

Gingie kurczowo przytrzymywała się jego ramion, podczas gdy on zanurzał się w niej raz po raz, wsłuchując się w zmysłową muzykę jej westchnień.

Widział, jak fala rozkoszy rozlewa się po jej ciele, ile przyjemności daje jej moment, w którym on wypełnia ją, eksplodując w jej wnętrzu. Mierzwiła dłonią jego włosy, gdy drgnął gwałtownie, a potem opadł bezwładnie w jej objęcia. Gingie zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego głowy.

– Jeszcze nigdy nie było tak dobrze... – westchnęła.

– Nigdy – przyznał Roe. Po długiej chwili zapytał: – Czy naprawdę chciałabyś mieć teraz dziecko?

– Jeżeli to się już stało, to wspaniale – odpowiedziała szczerze. – A jeżeli jeszcze nie...

– To co?

– Kiedy już zadomowimy się razem w Nowym Jorku i kiedy odbędę swoje letnie tournee, moglibyśmy znów spędzić wspólnie wakacje. Jeszcze nigdy nie byłam w Afryce.

– Chciałabyś się tam wybrać? – zapytał pozornie obojętnym tonem.

– Jasne, że tak! – wykrzyknęła z entuzjazmem. – Przy tobie zdałam sobie sprawę z tego, jak wiele już w życiu straciłam. Dwukrotnie objechałam świat dookoła, a widziałam tylko hotele i hale koncertowe. Myślę, że mogłabym zniknąć ze sceny na jakiś miesiąc lub dwa. Nie sądzisz? – zastanawiała się głośno, wyraźnie podniecona tą perspektywą. – To by było rewelacją także dla Milo. Zawsze marzył o tym, żeby zobaczyć piramidy.

– Widzę, że czeka mnie ciężkie zadanie – westchnął. – Będę zmuszony zrobić wszystko, żeby tłum brukowych dziennikarzy, którzy w ślad za tobą zapuszczają się w dżunglę, żądni sensacji, nie został stratowany przez hipopotamy* zjedzony przez drapieżniki i potopiony w Nilu.

– Och, nie musisz się o nich martwić, Roe – uspokoiła go Gingie. – Oni są odporni i niezniszczalni. A poza tym trudno brać odpowiedzialność za ich los w miejscu, do którego ich przecież nie zaprosimy.

– Do licha – powiedział wreszcie Roe. – Pojedziemy tam!

– Och, Roe! – Rzuciła się na niego i obsypała pocałunkami. – Będzie nam tak dobrze razem!

– Wiem o tym. Dla tego warto spróbować.